

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

2552/1984/20

„Matolenie czy uczenie” - głosy nauczycieli - str. 3, 11

O zakrętach w rolnictwie
Henryk Pałak - str. 4-5

Polak - Węgier w czasie wojny
Wiesław Filiks - str. 9

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933
PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 36251

Kamena

NR 20 (813)

23 września - 6 października 1984

CENA 10 ZŁ

Egzaminy nie zdają egzaminów

Piotr Rudnicki

WNASZYCH środkach masowej informacji toczy się dyskusja na temat „doskonalenia” egzaminów. Chodzi przede wszystkim o egzaminy wstępne na wyższe uczelnie i do szkół średnich, a także o egzaminy maturalne. Podano nawet trzy „warianty”, które mogą być brane pod uwagę — ale nie podano jeszcze jednej możliwości, a mianowicie tej, że egzaminy można... „znieść”.
Uważam, że zamiast dyskusji na temat doskonalenia egzaminów trzeba podyskutować o roli, jaką te egzaminy spełniają. A może korzystniej dla naszego społeczeństwa będzie, jeżeli egzaminy „wstępne” zostaną zastąpione inną formą rekrutacji na studia wyższe i do szkół średnich?

le nie wpłynęło na poziom wiedzy młodzieży uczącej się w owych placówkach. Egzaminy te nie są bowiem najlepszym miernikiem możliwości rozwojowych ucznia czy studenta. Nie są nawet należytych miernikiem zakresu i poziomu wiedzy zdającego takie egzaminy. Najczęściej wszelkie egzaminy, a szczególnie egzaminy wstępne lub maturalne, są po prostu loterią, na której jedni wygrywają, a inni przegrywają swoje życiowe szanse. Gdyby wygrywali najzdolniejsi i najwartościowsi pod wielu względami, to nie byłoby nic złego. Ale dość często bywa, że ludzie zdolni, ambitni „przepadają” na egzaminach. „Przepadają” właśnie dlatego, że są ambitni, że chcą dowieść swoich umiejętności, swojej wiedzy, swojej pracowitości i nie wytrzymują napięcia nerwowego. Łamią się. A to wcale nie znaczy, że w ciągu wielu lat nie pracowali sy-

Dokończenie na str. 11



Kierując pod adresem „Kamena” ów rysunek, budzący żywe uczucia w zespole redakcyjnym, chcąc nie chcąc Szymon Kobyliński zwrócił naszą uwagę na fakt, że minęła oto kolejna rocznica założenia pisma: 51! Jeśli ktoś powie, że nie jest w zwyczaju świętowanie takich niepełnych rocznic, przyznamy mu rację, poświadczając to również czynem (patrz: zawartość niniejszego numeru „Kamena”, wolna chyba od okazjonalnych „słodczy”).

Wyróżnienie w konkursie „Kamena” na reportaż

ROGI, jak każda zaraza, biorą się z bakterii. Pani Cegielska miała badać środki spożywcze, to znaczy, uczciwie mówiąc, konserwy mięsne. Chodziło o to, czy można dać je ludziom do jedzenia. Zanim jednak doszło do badania czegośkolwiek, pani Cegielska stwierdziła, że bakterie rozrastają się bujnie już w brudnych pożywkach i na szkiełkach laboratoryjnych.
„NOTATKA SŁUŻBOWA. 28 marca 1975. Do kierownika Zakładu Higieny Weterynaryjnej w Olsztynie. Nawiązując do rozmowy przeprowadzonej z ob. dyrektorem WZWet., z ob. kierownikiem Wojewódzkiego WIS oraz kilkakrotnych rozmów z ob. kierownikiem ZHW uprzejmie komunikuję, że do chwili obecnej nie zostały poczynione żadne kroki, zmierzające

do poprawienia sytuacji w pracowni badania środków spożywczych [...]. Trudno jest uważać uzyskane wyniki

Bakterie czuły się w pracowni co raz lepiej, nie wiadomo było, które są z mięsem, które zaś z ogólnych

Dotychczas było tak, że poważna nieprzydatność konserw do spożycia nie wydawała się prawdopodobna, więc je uznawano za przydatne, wpisując wyniki badań, które uznać można było za prawdopodobnie prawdopodobne. Natomiast pani Cegielska przyjechała do Olsztyna z doktoratem z weterynarii oraz świadectwami licznych kursów specjalistycznych i koniecznie chciała to wszystko zastosować w praktyce. Bez opamiętania badała te konserwy, po parę razy, podczas gdy one narastały w magazynach, zaś wyniki nie chciały być inne.

ROGACIZNA

Hona Morzól

za całkowicie wiarygodne [...] Proszę o stworzenie warunków umożliwiających prawidłową działalność pracowni”.

warunków sanitarnych oraz czy z punktu widzenia przydatności konserw do spożycia należy być bardzo przerażonym czy wcale.

Rogi, jak każda twardość, biorą się z uświadomienia.

Dokończenie na str. 10

Niekonsekwencje

Julian Kania

NIE będę szerzej ustosunkowywał się do pierwszej części artykułu Nikodema Żukowskiego, w której autor rozprawił się z realizacją celu edukacji w trzech, jak sam mówi, aspektach: programów nauczania i podręczników, nauczania przez nauczycieli, uczenia się uczniów. W tym względzie Żukowski ma dużo racji; swoje stwierdzenia, zilustrowane przykładami, oparł zresztą na wypowiedziach i ocenach samych nauczycieli (choć nie wiadomo, ilu ich zabierało głos w tej sprawie i jacy to byli pedagodzy). Czasem ma się przecież wrażenie, jakby autor wypowiadał swoje prywatne, bardzo subiektywne sądy, oparte np. na... zwierzeniach własnej córki — uczennicy.

Znacznie więcej uwag nasunęło mi się po lekturze drugiej części artykułu (zamieszczonej w nr. 17 pisma).

Jeśli chodzi o poruszoną tam kwestię kontroli opanowania materiału przez ucznia, jaką jest klasówka, to program wyraźnie określa, że których przedmiotów i jak często można ją stosować. Natomiast tzw. kartkówka to forma wymyślona przez nauczycieli, którzy chcą „mieć” dużo stopni w krótkim okresie czasu. Mając wypracowany szablon, można w ciągu kilku czy kilkunastu minut skontrolować i 40 uczniów. Taki nauczyciel nie uwzględni, że nie każdy uczeń potrafi „wypisać się”, skoncentrować w narzuconym mu reżimie czasowym, pod okiem „żandarma”, że kartkówki nie są przecież testem wystandaryzowanym, sprawdzonym, że wreszcie przedmiotów jest wiele, a implikowana tym faktem częstotliwość kartkówek musi rodzić stresi, powodować tzw. cukrzycę egzaminacyjną, zniechęcać do przedmiotu, do nauczyciela, do szkoły.

Mówiąc o 10-godzinny czasie pracy ucznia, Żukowski dla porównania

podaje czas pracy nauczyciela — 4,5 godziny. Zdumiewająca to obserwacja; trzeba bardzo mało orientować się w sprawach szkoły, by taki sąd beztrzęsio sformułować. Nie tutaj jednak miejsce na referowanie tego interesującego problemu, jakim jest czas pracy nauczyciela. Mówią o tym badania, których wyniki publikowane są w pozycjach zwartych (np. B. Jodłowskiej „Budżet czasu nauczycieli szkół podstawowych dużego miasta”, WSP Kraków 1981 r.) lub w licznych artykułach, m.in. w „Nowej Szkole”. Ale nawet bez znajomości tych materiałów rozsądek mówi, że jest inaczej. Nauczyciel, choćby pracował tylko na „goly” etacie 18 godzin tygodniowo (często pracuje więcej, zwłaszcza w środowiskach wiejskich, gdzie brak kadry), to potem musi przecież poprawiać zadania, sprawdzać zeszyty uczniowskie, przygotować się do lekcji pod względem rzeczowym, metodycznym. Oczywiście, nie pochłania mu to w sumie aż tyle czasu, ile uczniowi nauka, ale przecież trudno wymagać, by nauczyciel całe życie pracował po 10—11 godzin dziennie! Dlaczego autor nie wliczył tu czasu, który nauczyciel poświęca w szkole na sprawy administracyjne, na konferencje, rozmowy z rodzicami, na prowadzenie różnych kółek (choćby i kwadratowych), na pracę wychowawczą z uczniami, na prace społeczne, zwłaszcza w środowiskach wiejskich? A czy nie trzeba wziąć pod uwagę jeszcze czynnika, który przede wszystkim powoduje zmęczenie u nauczyciela, tj. odpowiedzialności za zdrowie dziecka, za jego bezpieczeństwo w szkole, odpowiedzialności za wyniki nauczania i wychowanie, ciągłego napięcia nerwowego na lekcji, nawet na przerwie w czasie dyżurów?!

Chciałbym ustosunkować się do niektórych wniosków Żukowskiego, głównie tych, które budzą we mnie wątpliwości lub sprzeciw. Autor tych wniosków wiele spraw upraszcza, a

przecież poruszane przezeń — i dobrze — problemy są o wiele bardziej złożone, mają wiele uwarunkowań. Trochę też w tych wnioskach przesady, zabawy w ogrodnika, może dozwolonej w publicystyce, ale czy prowadzącej do celu?

Pierwszy z wniosków brzmi: „Zwalniać tych nauczycieli z pracy lub przenosić na etaty asystentów do wyższych uczelni, którzy nie dostrzegają różnicy w przyswajaniu wiedzy między uczniem szkoły podstawowej, to jest dzieckiem a studentem”. Zwalniać lub przenosić... Na jednej płaszczyźnie stawia autor te dwie kary, a przecież druga z nich to nie kara! To awans dla nauczyciela, który ze szkoły podstawowej ma iść na uczelnię, tyle tylko, że „za karę”! Skąd my znamy takie „kary”, takie przetasowywania? Nie sprawdził się jako dyrektor, zaproponowano mu prezesurę. Był nieudolnym w sprawowaniu wysokiego urzędu w kraju, wysłano go za granicę — na lepszy, wygodniejszy, atrakcyjniejszy fotel.

A ta pierwsza kara — czy nie jest za ostra? Czy człowiek, a jest nim też nauczyciel, nie może się zmienić, czegoś nauczyć? W tym tylko sek. że autor, o czym będzie mowa za chwilę, postuluje rozwiązać „wszelkiego rodzaju i kalibru Instytut Pedagogiczne”.

Drugi wniosek dotyczy zniesienia wszystkich wolnych sobót w szkołach, „bo za rok trzeba będzie uruchamiać trzecią zmianę, druga już w pełnym wymiarze pracuje”. Czy to tak jest w całej Polsce? Na wsiaach też? Tam przecież niektóre szkoły świecą pustkami! Dlaczego więc tak kategorycznie, tak bezwzględnie sformulowano ten wniosek?

Nawet przy zniesieniu wolnych sobót w klasach starszych nie jest chyba możliwe, by uczeń miał tylko po pięć godzin zajęć dziennie. A zresztą podobnie jak dorosły, on woli mieć w tygodniu nieco więcej lekcji i wolną sobotę. To jednak pozostawiłbym do dyskusji i do uzgadniania przez rady pedagogiczne w zależności od warunków. Wydaje się jednak, że ten problem jest mocno związany z programami.

A programów dotyczy właśnie czwarty wniosek autora. Są one rzeczywiście przeladowane, obliczone na encyklopedyczne

nauczanie, a przecież jest ono niemożliwe. Chodziłoby więc o to, by szkoła, uczeń tego, co jest istotne i niezbędne, „zarażała” uczniów chęcią permanentnej edukacji, bez której nawet człowiek z dyplomem uniwersyteckim po pewnym czasie staje się wciemniałym, wciemniałym. Problem w tym, że nikt nie ma odwagi zburzyć dotychczasowych ustaleń w tym względzie. A przecież w programy powinna być „włożona” elastyczność. Ich autorzy razem z nauczycielami powinni mieć na uwadze słowa, które wypowiedział Tyron Edwards: „Głównym celem nauczania jest ćwiczenie umysłu, a nie zaszczenie go informacjami”, lub sentencje Montaigne'a: „Kształcić dzieci trzeba przede wszystkim zainteresować je nauką i wpolic im zamiłowanie do wiedzy, w przeciwnym razie wyrosną z nich osy obciążone książkami”.

Wnioskowi szóstemu trudno odmówić racji, ale jest tak sformułowany, jakby rzeczywiście zastosowanie kwestionariuszy R. H. Cattella rozwiązywało trudny i skomplikowany problem, jakim jest dobór kandydatów na nauczycieli.

Kolejny wniosek musi dziwić każdego czytelnika, który wcześniej czytał w tymże artykule następujące zdanie: „Dobry nauczyciel to nie tylko ten, który posiada duży zasób wiadomości z matematyki czy polskiego, lecz przede wszystkim ten, który opanował odpowiednią wiedzę i umiejętności w zakresie przekazywania swoich wiadomości uczniom”. A więc ktoś, kto dobrze poznał pedagogikę, metodykę, psychologię rozwojową. Jeśli Żukowski wierzy swoim myślom wypowiedzianym w przytoczonym zdaniu, to dlaczego w siódmym wniosku każe rozwiązywać „wszystkie Instytuty Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych oraz wszelkiego rodzaju i kalibru Instytuty Pedagogiczne, jako że placówki te doprowadziły do katastrofalnego stanu nauczania podstawowego w Polsce”? Szkoda, że autor nie zechciał wskazać zarazem, kto tę wiedzę pedagogiczną i psychologiczną ma nauczycielom udostępnić, kto ma ich w tym zakresie kształcić, doskonalić, kto miałby kierować samokształceniem owych ludzi? Ponadto dziwne jest, że Żukowski chciałby rozwiązywać i to, co nie istnieje. Od kilku bowiem już lat nie ma w Polsce Instytutów Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych. Są natomiast Oddziały Doskonalenia Nauczycieli, podporządkowane Instytutowi Kształcenia Nauczycieli im. Władysława

Dokończenie na str. 11

Owczym pędem?

Halina Olczak

UWAGI Nikodema Żukowskiego wydały mi się niezwykle cenne i mogłabym się pod nimi podpisać, jako że od lat na wszystkich radach pedagogicznych, zebraniach metodycznych itp. podnosiłam prawie te same kwestie. Oplerałam się nie tylko na swoich spostrzeżeniach czy rozmowach z uczniami, którzy nagminnie — od najlepszego (olimpijczyka) do skończonego lenia — nie lubią szkoły, ale i na dyskusjach prowadzonych z rodzicami podczas tzw. wywiadówek. Niestety, byli to zawsze „głos wołającego na puszczy”. Nasi specjaliści od nauczania, poczynając od metodyków, a kończąc na ministerstwie, wiedzą najlepiej, co jest dobre dla nas wszystkich. Zresztą udało się przekonanie, że eksperymentowanie w szkole i na szkole nie nie kosztuje, bo dewiacje psychiczne i fizyczne się nie liczą, a pewne ambicje, egoistycznie usposobione osoby z silną przebiegłością i powodem mogą robić stopnie naukowe i realizować swoje surrealistyczne sny. Nauczyciel-praktyk jest ciągle traktowany jak niedouk, który nigdzie nie mógłby się w życiu zahaczyć, gdyby nie szkoła. Bzdura ta pokutuje nadal i odstrasza od szkoły wielu zdolnych i posiadających serce ludzi. Nauczyciel-prak-

tyk to doskonały „chłopiec do bicia”. Nie ma możliwości obrony, jak ryba nie posiada głosu. Stale jest zastraszany ogromem rozkazów, poleceń, wytycznych, zadań. Stale ma poczucie, że czegoś nie zrobił, o czymś zapomniał. A przecież doskonale wiadomo, że nadmiar obowiązków nie sprzyja realizacji żadnego.

Nie ustrzegł się tego fałszywego spojrzenia na nauczyciela i Nikodem Żukowski. Poszedł za owczym pędem i, wydaje mi się albo też jestem przeuczulona, większą winę przypisał „pani od chemii” niż tym, co nad nią. „Pani od chemii” musi realizować program. Nikt jej nie pyta, co ona o nim sądzi oraz czy ma choć godzinę czasu na jego utrwalenie. Pani metodyk, która raz na jakiś czas przyjdzie do szkoły, dokładnie sprawdzi, jak przebiega realizacja programu. Nie zapyta o trudności, nie pomoże. Ona jest po to, by egzekwować, sprawdzić i wystawić ocenę. Oczywiście, są wyjątki. Dlatego też nauczyciele niechętnie mówią o trudnościach, chyba że są bardzo odważni albo też zdeterminowani.

Następnym mitem pokutującym w społeczeństwie jest wyjątkowo krótki

czas pracy nauczyciela. Rzeczywiście, osiemnaście godzin brzmi szokująco. Ja osobiście nie odczułam niższej godzin. Autor artykułu sugeruje, że przez godzinę dziennie można przygotować się do lekcji. Jestem polonistką i mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że nie miałam w ciągu roku szkolnego ani jednego wolnego popołudnia. Muszę czytać lektury, podobnie jak uczniowie; poprawiać setki prac pisemnych. Nie wiem, czy autor artykułu orientuje się, jak bardzo jest się zmęczonym już po kilkunastu pracach i ile czasu zajmuje przeczytanie np. jednego wypracowania. Nie wspomnę o normalnym przygotowaniu lekcji. Inną kwestią jest praca pozalekcyjna nauczyciela. Ze szkoły nie zdarzyło mi się wyjść od razu po zakończeniu lekcji. Każdy z nas jest zobowiązany do tzw. pracy społecznej. Coś tam prowadzi, czemuś patronuje, czymś się opiekuje, pracuje wraz z klasą na rzecz osiedla czy szkoły, np. sprząta klasy w zamian za nieobecne sprzątaczkę. Raz w miesiącu trzeba się spotkać z rodzicami, wziąć udział w radzie pedagogicznej, w posiedzeniu zespołu wychowawczego, odwiedzić dom rodzinny dziecka. Pisz się różne sprawozdania, wyliczenia itd. Obchodzi się liczne rocznice, święta, urządza się wieczorki, spotkania i zabawy, zaczyna się i kończy uroczyste rok szkolny. Nauczyciel poświęca swoje godziny, i czasami zastanawia się, co jest najważniejsze w szkole. Dochodzi do wniosku, że uczenie to dodatek do życia szkoły, a samodzielne myślenie, samokształcenie to luksusy, na które go nie stać z powodu braku czasu.

Osiemnaście godzin nauczyciela pozostaje na papierze, gdy zważy się jeszcze i to, iż w mojej szkole nie było ani jednej osoby, która nie cho-

dziłaby na zastępstwa. Część nauczycieli bierze zastępstwo, bo musi (ząda tego dyrektora, zobligowana przez władze zwierzchnie do realizowania w stu procentach programu nauczania), część dlatego, że nie byłaby w stanie utrzymać swojej rodziny z tak niskiej pensji.

Autor artykułu zaskoczył mnie jeszcze i tym, iż w końcowej partii wywodu jakby zapomniał o tym, co pisał wcześniej. Uważał bowiem, że uczniowie są przeciętni pracą, a we wnioskach postuluje zniesienie wolnych sobót w szkole. Wydaje mi się, iż jedno z drugim się kłóci. Przecież to nie wolne soboty są winne przeciętności dzieci. Wręcz przeciwnie, miały im zapewnić więcej czasu dla siebie. A trzecia zmiana w szkole jest skutkiem zbyt małej liczby budynków. Może więc postulujemy znowu budowę tysiąca szkół?

Nie upatrujmy winy głównie w nauczycielach, co nie znaczy, że wszyscy oni są wspaniali. I nie dodawajmy im jeszcze jednego garbu. Pamiętajmy, iż tak jak uczeń, nauczyciel też musi mieć swoją dążność pochwał, by skutecznie pracował i nie myślał o ucieczce z tego zawodu, w którym do tej pory spotykają go przykrość i niechęć. Niech wreszcie opinie, spostrzeżenia i doświadczenia zgromadzone w czasie wieloletniej pracy przydadzą się na coś naprawdę przy modelowaniu polskiej szkoły. Niech ktoś wreszcie na serio zapyta, co myślą nauczyciel i nie traktuje go jak nieuka.

Nareszcie nie wróg

Henryk Pająk

ZABIERAJĄC głos w ankiecie „Polityki” (nr 34) na temat minionego czterdziestolecia, prof. Ryszard Manteuffel skupił uwagę na rolnictwie, dziedzinie gospodarki, na której dobrze się zna i w której, jego zdaniem, popełniono najwięcej błędów. Na szczęście z błędów tych w porę się wycofano i teraz, u progu nowych 40-lecia, przed rolnictwem stoją nowe perspektywy. Najważniejszą z nich jest uznanie przez władzę trwałości rolnictwa indywidualnego, wynikające z odkrycia poczynionego dość niedawno, że takie rolnictwo wcale nie jest wrogiem socjalizmu ani w doktrynie, ani w praktyce i z powodzeniem może współżyć z socjalizmem przez następne 40 lat.

Nie są to stwierdzenia ani nowe, ani niesłuszne; rozumowanie prof. Manteuffla mocno trzyma się utartych ścieżek i realiów, zachowuje bezpieczny dystans czasowy w odniesieniu do przeszłości i ostrożną rezerwę w stosunku do przyszłości rolnictwa polskiego. Byłoby to wypowiedź dostatecznie „słuszną” a więc i nijaką, gdyby nie co najmniej dyskusyjne przesłanki i sądy, którymi prof. Manteuffel wspiera swoje główne tezy. Wydaje mi się, że gdyby te sądy i argumenty mocniej podważyć, to i główne tezy artykułu profesora poczułyby się mniej pewnie.

Jest sprawą dla każdego oczywistą, że próba kolektywizacji, podjęta z wielkim rozmachem w 1950 roku i forsowana z oplakany skutkiem aż do przełomu październikowego, miała za podłoże jedynie przesłanki doktrynalne, nie zaś realia społeczno-gospodarcze i zapędziła zniszczone wojną gospodarstwo chłopskie w wieloletni zastój i regres. Niepowodzenie tej akcji prof. Manteuffel przypisuje głównie narodowym cechom Polaków, na skutek czego stawia ich niemal na równi z Indianami amerykańskimi czy Australijskimi Aborygenami: po prostu nie dorosli, a ponadto „Polacy nie znoszą przymusu, nie dają sobie narzucić niechcianych decyzji, są indywidualistami, często zresztą, jak historia nas uczy, reagują irracjonalnie”.

Otóż zgadzam się z profesorem, że nie ma czego żałować, iż kolektywizacja nie przeszła, lecz wielkim uproszczeniem, albo też unikaniem tak poważnego specjalisty jest, wedle mnie, wyjaśnienie procesu wręcz rozstrzygającego o przyszłym kształcie

społeczno-gospodarczym kraju argumentem tak romantycznym i niemożliwym do sprawdzenia, jakim byłby zestaw rzekomych cech narodowych Polaków. Owszem bywało przez 200 lat nieposłuszni i nieprawomyślni, lecz działo się to na skutek splotu dramatycznych dziejów narodu. Byliśmy irracjonalni, ale nie wtedy, gdy zaczynaliśmy kolejne zrywy wyzwolenicze, tylko po ich tragicznych końcach — w ocenie służalczych mędrków.

Jest wręcz nieprawdopodobne, aby prof. Manteuffel nie wiedział, że krach kolektywizacji to rezultat nie tylko polskiego, „narodowego” odruchu na przymus, lecz także, a raczej głównie, szeregu ważniejszych okoliczności. Pierwszą i najważniejszą to niekonsekwencja reformy rolnej: po co było dzielić między biedotę ziemie folwarczną, żeby niemal nazajutrz odbierać ją tym, którzy o niej marzyli przez całe pokolenia? Tracono w ten sposób tradycyjny rezerwuariat radykalizmu społecznego, jakim była biedota wiejska. W odwecie główne uderzenie skierowano w stronę kulaka, ale i tu trzeba obiektywnie, tym bardziej, że z perspektywy już 30—40 lat, postawić pytanie, czy chodziło tu o wroga klasowego, czy o przeciwnika politycznego — o tę część chłopstwa, która była naturalną ostoją zbrojnego i niezbrojnego podziemia? A naturalną, bo najbardziej zagrożoną przez widmo kolektywizacji.

Forsując kolektywizację, nieostrożnie uruchamiano dodatkowe przeszkody w postaci wrogości do przymusu. Brutalność metod wyzwoliła ją i podtrzymała, lecz nie sądzę, aby opór wobec przymusu był jakąś naszą narodową specjalnością, jak chce prof. Manteuffel. Czas brutalizacji nie służył: zaledwie parę lat przedtem chłop ładował w hitlerowskim obozie koncentracyjnym za nieoddane kontyngenty, aby po pierwszej euforii wolności znów znaleźć się niekiedy w tej samej celi za opieszałość w dziesięć dni zwanej teraz po nowemu, bo obowiązkowymi dostawami. Skojarzenia stawały się jednoznaczne, postawy także.

W dalszych rozważaniach R. Manteuffel celnie punktuje późniejsze błędy w polityce rolnej, wśród których najgorsze skutki miało długotrwałe stawianie rolnictwa na drugim planie w rozwoju gospodarczym kraju i związane z tym zróżnicowanie

relatywnych dochodów rolnika i robotnika, na korzyść tego ostatniego.

Po tych krzywdach i błędach nadszedł wreszcie czas „sensacyjnych zmian” — jak stwierdza profesor Manteuffel. „Nastąpiło uznanie faktu, że rodzinne gospodarstwo rolne nie jest sprzeczne z zasadami socjalizmu. Przeciwnie, że w wysokim stopniu je realizuje. Rolnik indywidualny nikogo nie wyryskuje, jest motywowany do produkcji w sposób bezpośredni poprzez dochód, który sam wypracowuje. Gospodarstwo takie najtaniej produkuje, realizuje produkcję rozszerzoną, a poprzez przychody i wydatki włączone jest do socjalistycznej gospodarki planowej państwa. Na skutek takiej oceny indywidualnego gospodarstwa rolnego władze polityczne, rząd oraz Sejm uznały trwałość rodzinnej gospodarki indywidualnej jako element naszego systemu gospodarczo-społecznego”.

Ten przydługi cytat jest w kontekście tego, co powiedziałem na temat początków rolnictwa w naszym kraju, wręcz niezbędny, aby uprzytomnić sobie zawilgość meandrow naszej polityki rolnej. Przeszła ona długą drogę. Od brutalnej walki klasowej, poprzez dziesięciolecie lekceważenia i dyskryminacji w sferze dochodów, po nagłą miłość do syna marnotrawnego, który wraca na łono gospodarki socjalistycznej jako jej ostoja oraz ideał. Ideał pod każdym względem. Niczego bardziej harmonijnie wtopionego w żywy organizm gospodarki socjalistycznej nie da się wymyślić, jak właśnie polskie gospodarstwo rolne. To same niebiosy zesłały nam taką komórkę rodzinno-gospodarczą: nie wyryskuje drugiego człowieka, produkuje najtaniej, jest „motywowane przez dochód”, czule reaguje na potrzeby gospodarki narodowej, czyli daje się łatwo sterować i profilować. Mało tego: jest zorganizowane na wzór małego przedsiębiorstwa, z jego strukturą i motywacjami — bez biurokracji i z dochodem jako jedynym celem — a jednocześnie wolne od brzydkich zachcianek przedsiębiorstwa kapitalistycznego z jego monstrualną wartością dodatkową i wysyskiem człowieka przez człowieka.

Dziwić musi entuzjazm prof. Manteuffla, jeśli się przejrzy odpowiednie dokumenty sejmowe, a zwłaszcza spokojnie prześledzi realia, które legły u podstaw zaakceptowania gospodarstwa chłopskiego jako „trwałego elementu w strukturze polskiego rolnictwa”. Są one utrzymane w spokojniejszym tonie. Gospodarstwo chłopskie zostaje tam uznane jako ważny partner pozostałych form — państwowej i spółdzielczej. Należy wyrazić uznanie dla akceptacji owego pluralizmu strukturalnego, która może mieć ogromne znaczenie praktyczne i psychologiczne, zwłaszcza jeśli zostanie poparta konkretną polityką cen płodów rolnych, a zatem kształ-

● Spory między lewicą i prawicą ● Deficytowe budżety ● Prezydent przywieziony w teczce ●

Życie codzienne Rady Miejskiej

- 2 -

Józef Marcuk

NAJOSTRZEJSZY spór pomiędzy klubami radnych występował przy omawianiu kwestii aprowizacji ludności. Nikt z radnych nie pytał prezydenta miasta ani szefa Wydziału Finansowego Magistratu, ile potrzeba na te cele pieniędzy. Demagogicznie często żądano natychmiastowego rozwiązania palących spraw zaopatrzenia mieszkańców w artykuły pierwszej potrzeby. Paradoks polegał na tym, że w prawicowym Magistracie Wydziałem Aproprowizacyjnym kierował ławnik Stefan Choma z PPS, zaś nadzór służbowy nad nim sprawował znany działacz tej partii, wiceprezydent Władysław Uziembło. Dawalo to endecji okazję do częstego krytykowania Wydziału Aproprowizacyjnego na forum Rady Miejskiej.

Nawet przy minimalnych środkach finansowych kierownictwo Wydziału czyniło starania o łagodzenie trudności aprowizacyjnych. „Nie ograniczając się do rynku wewnętrznego — wspomina wiceprezydent Uziembło — wyjeżdżałem w sprawach zakupów niejednokrotnie do Gdańska celem nawiązania stosunków handlowych z firmami importowymi dla sprowadzenia maki i tłuszczów amerykańskich. W dziedzinie rozdziału oparliśmy się przede wszystkim na sklepach spółdzielczych Lubelskiej Spółdzielni Spożywców. Koordynacja wysiłków w dziedzinie zaopatrzenia hurtowni miejskiej z LSS, pozostającej wówczas pod kierownictwem dobrych organizatorów i ideałowych działaczy klasowego ruchu spółdzielczego z Józefem Dominko, Wandą Papiewską i innymi na czele, przyczyniła się w dużej mierze do rozwoju spółdzielni. Spore sumy przeznaczone były przez LSS na działalność społeczno-wychowawczą. To skupiało zrzeszonych w spółdzielni robotników

wokół pracy kulturalnej, która nie tylko wpływała na uspołecznienie ogółu członków, ale i wychowała szereg działaczy oddanych klasie robotniczej” (W. Uziembło, „Wspomnienia 1900—1939”, Warszawa 1965).

Współpraca Wydziału Aproprowizacyjnego z LSS stała się przedmiotem ostrych ataków lidera endecji w Radzie Miejskiej, doktora Adama Majewskiego. Zdołał on pozyskać ortodoksów oraz drobnomieszczańskie ugrupowania żydowskie i przymusił w Radzie Miejskiej uchwałę o powołaniu komisji dla zbadania gospodarki tego Wydziału. Na lewicy Rady

zapanowała konsternacja. Z foteli radnych PPS, Bundu i Pealej Syjonu odezwały się okrzyki: „hańba!” Wówczas endecki radny, Adolf Radzki, zawołał: „Boją się komisji!” Odpowiedziała mu na to donośnym głosem Leontyna Zakrzewska: „Nie boimy się! My inną komisję wybierzymy!” Ktoś inny z lewicy replikował: „My wam pokazemy, kto się będzie bał, burżuj!” („Głos Lubelski” nr 24 z 24 I 1920). Po tych wymówkach radni lewicy demonstacyjnie opuścili salę obrad, na skutek czego posiedzenie zostało zamknięte.

Na jednym z następnych posiedzeń Rady Miejskiej, na którym omawiano sprawę zaopatrzenia ludności w opał, radnym PPS udało się przymusić projekt użycia części funduszy obrotowych Wydziału Aproprowizacyjnego na zakupienie działki terenów torfowych w Ostrówku koło Lublina. „Zdecydowano wystąpienie w tej sprawie rad-

nych PPS na posiedzeniu Rady Miejskiej — pisze Władysław Uziembło — przy poparciu obecnych na galerii robotników, którzy wołali: „dajcie opał”, spowodowało powzięcie uchwały w sprawie zakupu terenów torfowych. Zorganizowano do eksploatacji torfu Spółdzielnię Robotników Ziemi. Wydział Aproprowizacyjny powierzył spółdzielni przeprowadzenie kolejki do cukrowni i zorganizowanie eksploatacji torfu prasowanego, w twardych brykietach. W ciągu sezonu wydobyto i wysuszono 500 000 metrów sześciennych tego torfu. Dostarczenie brykietów torfowych do punktów sprzedaży ludność Lublina powszechnie uznała

ból publicznych lubelskiego Rządu Ludowego w 1918 r., oraz Wanda Papiewska i Józef Dominko, znani z szerokiej działalności społecznej w mieście, zwłaszcza w Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, skupiającej ludzi o lewicowych poglądach. Zarówno Papiewska jak i Dominko wybrani zostali z listy PPS, nie będąc członkami tej partii. Wprost przeciwnie, oboje wówczas współpracowali z ruchem komunistycznym, głównie za pośrednictwem Bolesława Bieruta i Jana Hempla. Lubelska Spółdzielnia Spożywców, chcąc uzyskać bezpośrednie wpływy na gospodarkę miejską, wysunęła ich kandydatury do Rady Miejskiej. Wanda Papiewska często podnosiła na forum Rady sprawę opieki społecznej, likwidacji bezrobocia, zdrowotności ludności.

Radny Józef Dominko walczył na terenie samorządu o niezależnienie biednej ludności od sklepów prywatnych. Dążył nawet usilnie do przekształcenia Wydziału Aproprowizacyjnego Magistratu na Hurtownię Zaopatrzenia LSS, do czego nie dopuściła większość endecka w Radzie Miejskiej. Był on ostro atakowany przez radnego Adama Majewskiego za rzekome przenoszenie rewolucyjnych metod działania z LSS do Rady Miejskiej. Na plenarnym posiedzeniu Rady 28 lipca 1921 r. Majewski posadził Dominkę o działalność antypaństwową, zaś głównym jego argumentem miał być cytat z rocznika LSS opublikowanego w 1920 r., w którym pisano: „Zaopatrzenie ludności, to jest jedynie środek, bo celem naszym jest wywołanie socjalnej rewolucji”. Lewica Rady zareagowała okrzykiem: „To nieprawda!” Majewski odpowiedział: „Czytałem to we wspomnianym roczniku i można to sprawdzić”. Ponadto Majewski zarzucał Domince, że na zjeździe kooperatystów w Warszawie opowiedział się za przyłączeniem do III Międzynarodówki z le-

kamena 4

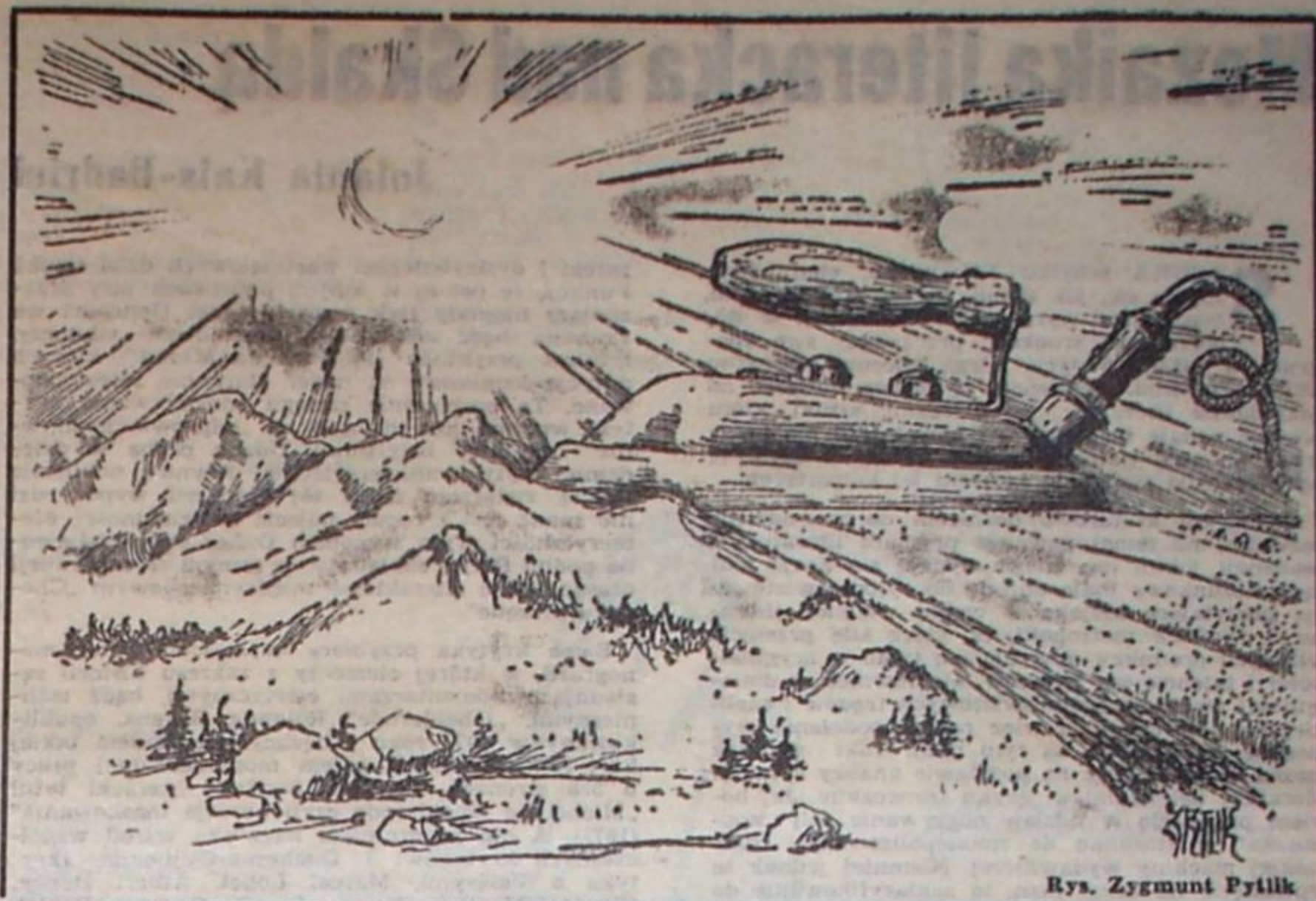
owaniem konkurencyjnego — w stosunku do innych działów gospodarki narodowej — poziomu dochodów i życia rolników.

Tylko nie wmawiajmy sobie i innym, jak to wy-daje się czynić prof. Manteuffel, że rodzinne gospodarstwo chłopskie to jest idealnie to, do czego polityka rolna instynktownie dążyła przez te 40 lat i czym jesteśmy teraz zachwyceni!

Zgoda na gospodarkę indywidualną, zwłaszcza na jej straszliwe i niekontrolowane rozdrobnienie, jest zgodą na rzeczywistość taką, jaka ona jest. Można wyrażać się z uznaniem o trzeźwości tej akceptacji, ale trzeba sobie zaoszczędzić nie istniejącego entuzjazmu. Bo czym się tu chwalić: trzema milionami „przedsiębiorstw” rolnych? Ze wszystkimi, nie dającymi się ogarnąć i wyliczyć, konsekwencjami rozdrobnienia, a zwłaszcza zróżnicowania tak wielkiego, że nie sposób znaleźć w tej mozaice dwóch identycznych pod każdym względem gospodarstw? Wszystkie zalety i wady tego fenomenu są albo zastane, albo wymuszone, a podnoszenie ich do rangi cnoty — po prostu nieszczerze. Wykazać to można łatwo, punkt po punkcie. Godzimy się na rolnictwo indywidualne, bo kolektywizacja, przynajmniej w najbliższym dziesięcioleciu, byłaby katastrofą, co zresztą łatwo wykazuje sam prof. Manteuffel. „Przedsiębiorstwo” chłopskie nie wyzyskuje nikogo, bo nikogo nie zatrudnia, a nie zatrudnia, ponieważ nie ma kogo zatrudnić, nie licząc pijaczków i wszelkich obwiesi. A zatrudniłoby chętnie, bardzo chętnie, tylko że każda wolna para rąk jest w mieście.

„Przedsiębiorstwo” chłopskie wcale nie jest „motywowane przez dochód, który sam wypracuje” — jak dowodzi prof. Manteuffel — tylko przede wszystkim przez system cen jego płodów, ustalonych przez państwo, wskutek czego państwo decyduje, czy chłopu ma opłacić się pracować wydajnie i jaką produkcję preferować. „Przedsiębiorstwo” chłopskie nie produkuje najtaniej, ponieważ przy jego parohektarowym areale nie wykorzystuje w pełni żadnej maszyny, którą posiada na własność, a jeśli jej użyć sąsiadom, natychmiast staje się wyzyskiwaczem — zarabia lub zmusza do odróbki ręcznej, a więc najcenniejszej, bo deficytowej.

„Przedsiębiorstwo” chłopskie dzięki pewnej samowystarczalności stać na krnąbrność. Trudno nim sterować nawet za pomocą cen skupu i przydziału maszyn i narzędzi. Na ceny niekorzystne potrafi odpowiedzieć czarnym rynkiem, handlem wymiennym, wstrzymaniem dostaw lub rezygnacją z nieopłacalnej produkcji itp. Robi to solidarnie, choć pojedynczo, umie bowiem błyskawicznie liczyć i kalkulować.



Rys. Zygmunt Pytlík

„Przedsiębiorstwo” chłopskie jest w sumie reliktem wstydlivym dla państwa kroczącego do socjalizmu, tworem niejasnym dla jego doktryny, nieokreślonym w sferze podstawowych jej definicji: własności środków produkcji, wartości dodatkowej, akumulacji, zarządzania itp.

Jaka zatem przyszłość rysuje się przed tym nieokreślonym tworem, choć ostatnio, trzeba to przyznać, ma on doskonałą prasę? Czy czeka go najpierw powolna koncentracja ziemi i środków produkcji w coraz mniejszą liczbę wielohektarowych gospodarstw, by kiedyś, nagle, przy sprzyjającej okazji — obudzić się któregoś dnia w łonie syndykatów spółdzielczych czy państwowych?

A może tak już zostanie — gospodarstwa po 6—10 hektarów, tu i ówdzie ciągnik, tam wiazalka, kombajn w SKR, pełne wyposażenie w widły i grabie, 40 proc. ludzi na wsi, 60 proc. w mieście, „pełzająca” polityka cen skupu i wieczna dyskusja o tym, jakie to rolnictwo polskie być powinno?

Żadna ustawa o tym nie wspomina, nie mnoży pytań i wątpliwości: ma być rodzinne gospodarstwo chłopskie wsparte sojuszem z PGR-ami i spółdzielczością i tyle. Nie czuje się zobowiązany do harcowania po błoniach XXI wieku także prof. R. Manteuffel. Jego interesuje status quo, stan na dziś, na danym etapie oraz fenomenalne odkrycie na miarę 40-lecia: rolnictwo indywidualne nie jest wrogiem socjalizmowi! Da się z nim wytrzymać.

wicy znowu odezwały się głosy: „To kłamstwo!” Radny Majewski dodał: „O tym pisała prasa”. Ktoś z PSS zawołał: „Ale wasza prasa!” Takie „odzwyczajki” zwalczających się klubów radnych zdarzały się często na forum Rady i dodać trzeba, że znacznie utrudniały jej normalną pracę.

W październiku 1923 r. radny Dominik został aresztowany pod fałszywym zarzutem przynależności do KPP i zorganizowania spisku politycznego przeciwko istniejącemu ustrojowi społecznemu. Po długotrwałym śledztwie wytoczono mu w marcu 1925 r. proces przed Sądem Okręgowym w Lublinie, który skazał go na jeden rok twierdzy. Wykorzystała to endecja zgłaszając w Radzie Miejskiej wniosek o pozbawienie Dominika mandatu radnego. Zaprotęstowała przeciwko temu cała lewica, opuszczając salę obrad. Spór w Radzie w sprawie Dominika trwał kilka miesięcy i zakończył się dopiero w grudniu 1925 r., gdy Sąd Apelacyjny w Lublinie uniewinnił oskarżonego.

Najwięcej społecznych problemów ludności omawiano na posiedzeniach uchwalających budżet miasta. Jako najbardziej kontrowersyjne — ciągnęły się one całymi miesiącami i kończyły się niekiedy uchwaleniem zrezygnowanego już budżetu. Magistrat nie był przygotowany do większych wydatków na rzecz nowych potrzeb gospodarki miejskiej. Budżety charakteryzowały się stałymi deficytami, które władze samorządowe miasta musiały pokrywać z zaciąganych pożyczek krótko- i długoterminowych.

Wybory do Rady Miejskiej, jakie odbyły się w czerwcu 1927 r., przyniosły zwycięstwo organizacjom robotniczym z PPS na czele. Opanowały one wówczas wszystkie kierownicze stanowiska w Radzie i Magistracie. Na prezydenta miasta wybrały wpłyowego polityka PPS, posła na sejm z okręgu kieleckiego, Antoniego Pączka. Pochodził on z Sosnowca, z zawodu był buchalterem, miał wówczas 37 lat. Mieszkał w Warszawie, zaniebując obowiązkami prezydenta miasta Lublina na korzyść pełnionej funkcji skarbnika w Klubie Sejmowym PPS. Nieufnie został przyjęty przez znaczną część radnych, zwłaszcza endecji i Bundu, jako „przywieziony w tecze”. Był blisko związany z marszałkiem Piłsudskim. Uchodził za człowieka silnej ręki, powszechnie mówiono o nim, że przy-

jechał do Lublina przeprowadzić „magistrackie porządki”.

Prezesem Rady Miejskiej został wybrany znany już od 20 lat w Lublinie inny działacz PPS, przewodniczący OKR, dyrektor Gimnazjum Żeńskiego, wieloletni radny Władysław Kunicki. Pochodził z Radomyśla na Wołyniu, był synem lekarza, powstańca z 1863 r. Tytuł inżyniera chemika uzyskał w Instytucie Technologicznym w Petersburgu. Za działalność polityczną w PPS przebywał na zesłaniu w guberni Wołogda. Na przełomie lat 1918—1919, w okresie rządów Daszyńskiego i Moraczewskiego, był komisarzem ludowym miasta Lublina.

W czasie niespełna dwuletniej działalności nowy samorząd dokonał istotnych zmian w polityce gospodarczej i społecznej na korzyść najniższych warstw ludności miasta. Zwiększył zatrudnienie bezrobotnych, otoczył opieką licznych bezdomnych, podjął próbę rozbudowy szkolnictwa miejskiego oraz służby zdrowia i opieki społecznej.

Przed socjalistycznym samorządem piętrzyły się olbrzymie trudności. Przejął on od poprzedniego Magistratu zadłużenie w wysokości 7 mln zł z tytułu spłaty zaległych rat i procentów od inwestycyjnej pożyczki amerykańskiej. Ze wszystkich stron wolano do władz miejskich o wsparcie i pomoc. Na posiedzeniu Rady Miejskiej 24 listopada 1927 r. Komisja Zdrowia przedstawiła bardzo ciężki stan szpitali i ich pilne potrzeby. W jednym z nich — według sprawozdania komisji — „sale są nieopalone, chorzy nie dostają jedzenia, personel niższy otrzymuje bardzo niską opłatę, chce strajkować, lekarze od szeregu miesięcy nie pobierają pensji”. Szczególnym wydarzeniem w dziedzinie lecznictwa było podjęcie uchwały przez Radę Miejską 7 grudnia 1927 r. o przejęciu przez samorząd szpitala Jana Bożego wraz z całym jego majątkiem, kapitałem i długami. Faktyczne przejęcie lecznicy przez Magistrat nastąpiło 1 czerwca 1928 r. Dyrektorem Szpitala Miejskiego został doktor medycyny, radny Mieczysław Biernacki, który od roku 1903 był jego naczelnym lekarzem. Biernacki prowadził w Lublinie przez ponad 50 lat bogatą działalność społeczną, publicystyczną i literacką.

Nowa Rada Miejska przeznaczyła na rok gospodarczy 1927/28 aż 25,7 proc. całego budżetu na wydatki związane z opieką społeczną, piasując Lublin na

drugim miejscu w kraju, po Radomiu. Wzmógł się wówczas walek z żebractwem, włóczęgostwem i prostytutką. Zaczęto organizować — na wniosek Rady i na koszt samorządu — kolonie letnie i półkolonie dla około 1500 dzieci z rodzin biednych. W końcu 1928 r. Rada powołała środowiskowych opiekunów społecznych. Na stanowiska te wybrano dziewięciu obywateli z różnych dzielnic miasta. Zadaniem ich było udzielanie pomocy poprzez bezpośredni kontakt z zainteresowanymi osobami. O rozmiarze zubożenia ludności i szerokim zasięgu opieki społecznej może świadczyć fakt udzielenia pomocy ze strony lubelskiego samorządu w 1928 r. dla około 17 tys. osób.

Socjalistyczna Rada Miejska więcej uwagi poświęcała problemom mieszkaniowym. 3 listopada 1927 r. uchwalila ona memoriał do prezydenta Rzeczypospolitej z prośbą o wydanie rozporządzenia zawierającego eksmisję z mieszkań jedno- i dwuizbowych. Natomiast prezydent miasta Antoni Pączek zabiegał w kołach rządowych o zwiększenie kredytów na budowę mieszkań. Bardzo ciężką sytuację mieszkaniową najbardziej ubogiej ludności oceniła Rada na posiedzeniu 11 stycznia 1928 r. Z przedłożonych przez wyłonioną komisję materiałów wynikało, że mieszkania wielu rodzin robotniczych i bezrobotnych przypominały często legowiska w walcących się domach, w komórkach pod schodami lub w wilgotnych piwnicach. Około 170 rodzin eksmitowanych z mieszkań wegetowało pod gołym niebem. Fakty te wyjaśniły w pewnym sensie „ojcom miasta”, dlaczego Lublin zajmował wówczas przedostatnie miejsce w Polsce w statystyce gruźlicy.

Prezes Rady Miejskiej Władysław Kunicki wprowadził ciekawą zwyczaj przyjmowania delegacji różnych środowisk i związków zawodowych na plenarnych posiedzeniach. 3 listopada 1927 r. obszerny memoriał odczytała Radzie delegacja Ogniska Związku Nauczycielstwa Polskiego w Lublinie, która przedstawiła krytyczny stan szkolnictwa powszechnego w mieście i domagała się gruntownego zbadania warunków pracy w użytkowanych lokalach szkolnych. W zakończeniu dokumentu czytamy: „Memoriał ten niechaj trafi do Waszych sumień narodowych, niechaj obudzi w sercach Waszych, Radni miasta Lublina, szczerą chęć naprawy. Zapoczątkujcie realiza-

cję marzeń wielkiego patrioty i pisarza, autora „Przedwiośnia”, budujące szklane domy w postaci okazałych gmachów szkolnych”.

Wszelkie próby naprawy na odcinku gospodarczym, społecznym i kulturalnym miasta, które zostały podjęte przez radnych socjalistycznych z tak wielką inicjatywą i zaangażowaniem, i które zaczęły przynosić już pozytywne rezultaty — zostały nagle przerwane. Lewicowy samorząd Lublina swymi radykalnymi decyzjami naraził się na silne ataki zarówno ze strony endecji, jak też ze strony władz i ugrupowań rządowych, które zdecydowanie poparł w końcu 1928 r. prezydent Antoni Pączek. Zgłosił on nawet rządowej propozycję rozwiązania organów samorządowych w Lublinie i powołania w ich miejsce komisarsza rządowego. 26 lutego 1929 r. minister spraw wewnętrznych Sławoj-Skladkowski rozwiązał Radę Miejską oraz zwolnił prezydenta miasta i pozostałych członków Magistratu z ich stanowisk. Władza w mieście została powierzona komisarzowi rządowemu Sewerynowi Czerwińskiemu z Warszawy.

Prezydent Antoni Pączek przybył do Lublina rządzić i rozkazywać, a nie brać udział w kolektywnym sprawowaniu władzy. Radę Miejską traktował jedynie jako organ doradczy, a nie uchwałodawczy i kontrolujący. W tejże Radzie znalazło się wiele osób odważnych i stanowczych jak poseł Feliks Kotarski, nauczyciele: Józefa Kunicka i Feliks Popławski (wszyscy z PPS), sędzia Stanisław Bryła (endecja), którzy nie szczedzili Pączkowi słów krytyki. Zarzucali mu samowolę i nieuzasadnione wydawanie pieniędzy samorządowych. Rada Miejska kilkakrotnie uchwałała prezydentowi miasta votum nieufności, żądając natychmiastowego ustąpienia z funkcji. Wkrótce po opuszczeniu prezydenckiego fotela Antoni Pączek wspominał: „Samorząd uległ rozwiązaniu głównie na skutek moich energicznych starań, gdyż stan był niemożliwy do zniesienia. Żałować należy, że kompetentne władze uczyniły to za późno, należało bowiem dokonać tego cęcia natychmiast po mojej konkretnej propozycji uchyleniu w listopadzie 1928 roku” (A. Pączek, „Moje rządy w Lublinie”, Lublin 1929).

Wojciech Kawiński

OPOWIEŚĆ

Moja
dziecięca pamięć
przyjeżdża z daleka.

Mój wstyd
powraca z bardzo
bliskiej podróży.

Moje ponure okno
rozświetla dzień
wczesnowiosenny.

Moje dążenia
człapią wolno
niby zmęczone szkapę.

Mój kłamliwy język
nie ustaje
w tłumaczeniu się.

Moja stara matka
pisze naiwne listy
jakby nie z tego świata.

A moje trwanie
jest trwaniem-krążeniem-dążeniem.
Niezym więcej.

nawet odłot dzikich kaczek
w ogniu słońca
i w srebrze wód pobliskiej zatoki
nie zdoła cie poruszyć

nie zapomnisz
jednak o sobie
nawet wówczas
gdy rzucisz się
głową w dół
z dwunastego piętra domu
w obcym mieście w obcym klimacie

bogaty
i żywy w swojej wewnętrznej nędzy
wrak

trwogi buntu
i uspokojenia

Malmö, 1983

METODYCZNOŚĆ KTORA

Nie szaleję,
nie śpieszę się,
nie śpiewam i nie płaczę.

Ale we mnie jest
i szaleństwo,
i płacz i iza szarostwa.

Pytam przypadkowego człowieka:
stary człowieku
czy wiesz?

A on odpowiada: tak,
choć nie czuję się
winny tego szaleństwa
i nie znam tej metodyczności
rozkładającej
wszystko co żywe, pełne, mądre
i prawdziwe.

FRAGMENT

I

Kamienie tego domu
Domu tego szkło
Ziemia zwyciężona
Po której krążymy

Człowieku: powiedz komu
Jak kiedy i do
Jakiego zwierciadła
Bez przerwy patrzymy

II

Motyle naszych snów
Pod niskim niebem
Giną podobne płatom
Śniegowych sekund

Człowieku: dokąd znów
Pójdziemy w potrzebie

Gdy czasu atom
Już w przeszłość nas przekul

III

Złoto tych liter
Wyjęte z wapnia przestrzeni
Morze głębokie
Zwykłych wątpliwości

Człowieku: dymnym światem
Idź nasze cienie
I lekki śpiew obłoków
Owija żywe kości

IV

Kamienie tego miejsca
Nie są kamieniami
Domy jak arki
Na pływającej fali

Płyną by przetrwać
I aby ocaleć
Gdy promień cmentarny
Zechce ich ceplę spalić

V

Granice naszych sumień
Pomysły rzucone na papier
Bez prawa
Do innej racji

Człowieku: czy rozumiesz
To trwanie zwane teatrem
I tę pół ludzką zabawę
Na którą każdy z nas patrzy

VI

Błędy słońca i kontynentu
Mapa planety wykuta
W stubarwanej skale
W skórze kosmosu

Nie wierz w czystość diamentów
Lecz w to co tutaj
Szukają żywi wytrwale
Jak źródło szczęsnego losu —

RANY

I

w kręgu polarnym
i pod palmami
w greckiej
i na wyspach kanaryjskich

tak samo umiera człowiek
zraniony
nieśmiertelnymi klami czasu

II

poeta o twarzy narkomana
tłumaczy
zapomnianych poetów

i wydaje się szczęśliwy
choć nie ma nic
oprócz książek
i dobrej pamięci

III

chłodne słońce świeci
rozjaśniając
twoją ciemność

bezskrzydły wróblu
okruszyny cierpliwie gorczy



Rys. Monika J. Kozłara

KRUKI, WRONY

Skrzydła złożone do lotu
i płaska ziemia pod stopami

w bliskiej przestrzeni
cel dopiero się rodzi
fala za falą przepływa
ciemność sturamienna

Złudzenie pamięci
tworzy miękkie krajobrazy śniegu
śnie otoczone
warstwami grodu i suszy

Pod wypukłym niebem
rośnie rzeźba czasu

i ziarno żelaza
wrogiem jest twojego czekania

Na polach
wiatr niesie pył wapienny
i grudy wilgoci

HISTORIA CHOROBY

zapominasz o świecie
gdy żyjesz w bogactwie
i samotności

KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ●

W postawie poetyckiej Makarskiego ceniłem rzetelność, prawdomówność, prostolinijność, lekceważenie krótkotrwałych i robiących chwilowy run stylistycznych nowalijek. Używszy w tym zdaniu czasu przeszłego nie chcę powiedzieć, że teraźniejszość jest diametralnie inna. W wierszu Makarskiego dalej widać upór bycia sobą, sobą innym od fortunnnych układaczy (zecerów?) powiedzonek przez swą zaskakującą „oryginalność” wymuszających (jak w ruchu drogowym wymusza się pierwszeństwo przejazdu) uznanie. Odbieram jednak wrażenie, że programowe penetracje obecnie są narażone na niebezpieczeństwo stania się dywagacjami. Zgoda, to ambitne, że nie pozostaje na pozycjach już osiągniętych, ale w końcu słowa też czegoś od autora wymagają: poszanowania dla związków sobie właściwych, nie chcąc być tylko materiałem jego, choćby najszlachetniejszych, poszukiwawczo-formalnych ekspozycji. Ryzyko zawsze się zapisze po stronie „ma” w bucharterii między autorem a czytelnikiem, ale ryzyko ma to do siebie, że oprócz chwalebnej intencji przynosi czasem materialną stratę. Np. takie zwroty, jak „oaza referatów” (str. 14), „tepe nożyce zgody” (str. 16), „argument pajaka w najwyższym przetargu” (str. 30), „rana żarząca się w łyżce, wypalona przez szempl ogniska” (str. 69). Ha, to już nie Peiper, to Brzękowski, przy którym Peiper to czytanka dla dzieci. Prawda, — wyrwane z kontekstu, wszystko można tak wyprzeformować, niemniej jednak pozostaje

staje wrażenie, że w tych wierszach za mało jest uwagi dla jakości emocjonalnych, uwagi, która swego czasu tak korzystną w nich pełniła funkcję. To znaczy: Makarski w swej najbliższej praktyce może nie uwzględnić tych sugestii, na odwrót — zaserwować teksty, które na przedłużeniu nowego odcinka drogi w pełni uzasadnią jej kierunek, ale obecnie owa śmiałość w napinaniu słów jest jeszcze dyskusyjna.

Do zauważenia jest też pewne szczególne zjawisko stylistyczne: coś w rodzaju — specyficznej — epifory. Np.: „ostro ostroźnie brać się do zwykłej roboty” (str. 103), „dekoracje oracje racje nasze wzniosłe” (str. 109), „wyfrunąć frunąć runąć” (str. 112). Zaskakuje? Tak. Można to zjawisko nazwać „efektem Makarskiego”, bo jest jego wynalazkiem i zdarza się tylko u niego, wszelako w tym natężeniu wygląda na mechaniczną eksploatację raz zastosowanego chwytu. Czy więc mam pretensję o statystykę? Pretensji w ogóle nie mam, a jeśli tu i tam posiałem trochę sprzeciwu-oczekiwań, to dlatego, że jest wobec kogo.

Widoczny jest też publicystyczny walor tych wierszy. Nawet ironiczny:

gdy syn zapyta po lekcji historii
jaki twój sztandar był i w jakiej
ploril
zwoyciństwie tętniłeś — czy meńnie
odpowiesz
że wojowałeś pod proporcem frofe?
(str. 38)

Na dobro autora należy zapisać, że nie jest to publicystyka czy satyra winkrustowana w tekst liryczny, nie można jej wyodrębnić jak nie da się tego zrobić w odniesieniu do Galczyńskiego. Zresztą, inklinację w tym kierunku Makarski ma pod przewodem Kochanowskiego, którego cała masa wersełów posłużyła za motto do cyklu „Czarnoleski syndrom”. Ale właśnie ten syndrom. Słowo dziś bardzo en vogue. „kulturalne”. „nobiletujące” każda wypowiedź, która chce być inteligentna. Na dobrą sprawę jest to termin medyczny i oznacza zespół objawów właściwych danej chorobie, w innym znaczeniu można go użyć na zasadzie „intelektualnej przerzutki”, ale jeśli w ten sposób wchodzi się na ścieżkę tak już wydeptaną przez obiegową publicystykę... Kiedyś była moda na entropię i kowergencję, które też były przyciągane za włosy do znaczeń humanistycznych. Ale tu pas.

Natomiast nie popuściłbym opracowaniu graficznemu książki. Po co ten robiony prymityw? Ma on większą wymowę, niż normalnie służebna, informacyjna grafika książkowa? Można by o to kopii nie kruszyć, gdyby nie tendencja tej praktyki do wejścia w powszechny i obowiązujący kanon.

Zygmunt Mikulski

Henryk Makarski: „Najłatwiej najtrudniej”. Wydawnictwo Lubelskie, 1984, str. 138, cena 40 zł.

POCZTA LITERACKA

Piotr S. Warszawa. Po przeczytaniu większości pakietów przesyłek literackich redaktor tej rubryki mógłby i chciałby powiedzieć: w tym ~~coś~~ jest. Wzrost ogólny poziom edukacji społeczeństwa podniósł się też granica przeciętnych możliwości poetyzowania, ładnego wyrażania myśli. Ktoś wcześniej powiedział, że nawet strafomania wzniosła się na wyżyny przedtem ~~nie~~ nie znane. Także w związku z Pana wierszami nasuwa się owe: „w tym ~~coś~~ jest”, ale na podstawie tych kilku utworów powstrzymuje się i od tego małego zobowiązującego stwierdzenia. Zdarza się jakaś linijka zwracająca uwagę, a potem następuje niefrasobliwe, nie ujęte w żadne rzywo poetyckie gaworzenie. Na razie więc postukule się końcówką pańskiego wiersza o Beethovena, odmawiając druk:

Trzeba przyjąć swój los

— nie wleceć

nie wleceć

nie

Janina Sz. Toruń. Nawet jak na kobiecie jest Pani w swoich wierszach za bardzo rozgadana. Dla rymu poświęca Pani nierządno sens i rytm utworu. Wszystko jest dla Pani tematem. Jak u dziennikarza w dziale informacji. Swobodnie to może utudnie, że wiele ma Pani do powiedzenia no, ale w powodzi słów i opisów gubi się to, co zdaje się być w tym pisaniu wartościowe. Namawiam więc do dyscypliny, wziętości, trafniejszego doboru motywów, pisania rzadziej, a lepiej.

Bożena T. Lublin. Odpowiadam według zadanych pytań: przesłane wiersze szczególnie te pierwsze, mogą zainteresować pisma dziecięce lub młodzieżowe; inne utwory proponuję wysłać do czasopism satyrycznych

Jan S. Warszawa. Opowiadanie pt. „Kobietę z budzikiem” wzbudziło moje zainteresowanie. Proszę przesłać następne, może...

NA MAJDANKU

Jerzy Kwiatkowski

DOSTAJĘ Nr 8830. Muszę oddać złote spinki do depozytu. Więzień, mówiący kiepską polszczyzną, ze zdziwieniem, a może i z zachłannością uwydatniającą się w głosie pyta, czy to prawdziwe złoto; po czym zatrzymuje spinki w garści i już wola następnego — mnie rzuca przez ramię, że spinki zapisane będą do mego depozytu, pod moim numerem, ale numeru tego nawet nie notuje. Srebrny medalik, ważna dla mnie pamiątka z pierwszej wojny światowej, rzuca ów więzień na ziemię jako rzecz bezwartościową. Rejestracja, a raczej odbieranie depozytów pochłania znów sporo czasu. Dygoczę na całym ciele. Wreszcie każą nam grupami, po sto osób, przechodzić do łaźni. Nago i boso biegniemy po zamrzniętej ziemi do sąsiedniego budynku, oddalonego o około sto metrów. W zimnej szatni siedzi kilku fryzjerów, Żydów słowackich, którzy strzygą nam włosy na głowie, wąsy, włosy pod pachami i na całym ciele. Podczas tego zabiegu wypytujemy o warunki na Majdanku. Wszyscy mówią, że jedyne wyjście z obozu prowadzi przez komin.

Dzień w dzień dziesiątki nagich trupów wywozi się z pola, a wycieńczeni głodem, często podczas długich apeli oddają swoje ostatnie technienie. Setki ludzi przypatruje się temu bezradnie i nawet obojętnie. Taki los i mnie czeka, gdybym konał na placu. Śmierć straciła zupełnie swój majestat, swoją niecodzienną, przerażającą straszność. Jeszcze przed chwilą kolega rozmawiał z nami — a oto przestał już oddychać, to przejście zdaje się takie łatwe, tylko powrót stamtąd jest niemożliwy. Śmierć stała się czymś tak powszednim, że nie robi już żadnego wrażenia. Pozbawiona została romantycznej aureoli bohatera zgonu żołnierza na polu chwały. Jaką tajemniczością owiany był mit grecki, który nakazywał kłaść zmarłym pod język obola, by mogli opłacić Charonowi przeprawienie ich przez błotnisty Styks, który siedmiokrotnie opasywał Hades. My tu stoimy codziennie nad Styksem, drugi brzeg bardzo bliski, a przeprawa bezpłatna. Wystarczy przestać oddychać, aby świat esesmanów, kapów, drutów kolczastych przepadł w wieczność. Jakże to łatwe! Rzeczywiście można powiedzieć, że apele odbywają się sub specie aeternitatis.

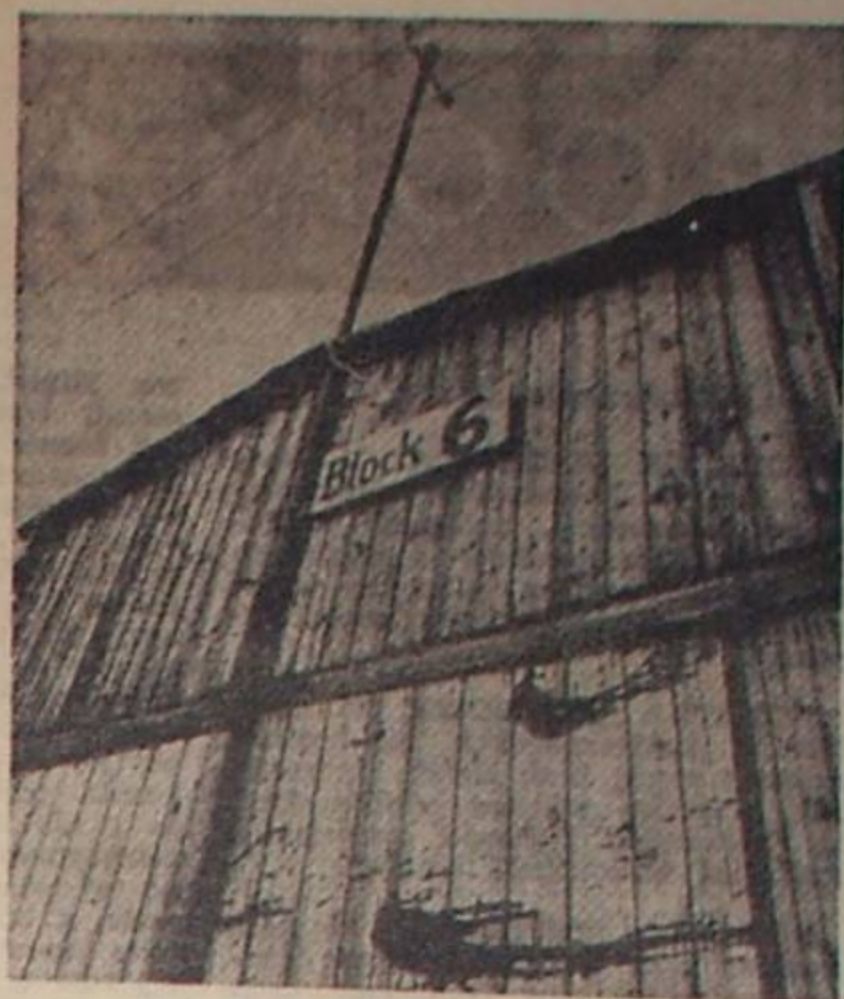
Opowiadał mi ksiądz rektor Archutowski, jak to pod okiem szefa krematorium SS-oberscharführera Mussfelda musiał w pośpiechu wyładować z wozu trupy; stojąc na wozie z drugim więźniem, Obarrą, z rozmachem przerzucali trupy przez ściankę na stos, gdzie miały czekać na swoją kolej do pieca. Obsługujący krematorium, używając długich, żelaznych drągów, zakończonych trzema hakami, które wbijali w jamę brzuszną, zaciągali trupa po trupie na ruszty i wsuwali do pieca. Słyszając i patrząc na to wszystko pomyślałem: jaką wspaniałą śmierć i pogrzeb miał ten, nawet najbiedniejszy, chłop we wsi, który umierał na własnym łóżku, oplakiwany przez swoją rodzinę, a później umyty, w czystej koszuli, włożony z pietuszkiem, choćby do najprymitywniej skonstruowanej trumny, którą ksiądz pokropił i odprowadził na wieczny spoczynek na cmentarz. Tu zaś SS-oberscharführer Mussfeld przepatrzuje u każdego trupa zęby i jeżeli znajdzie złoty ząb, to go obcęgami wyrwywa. Popiół z krematorium wywozi się na kompost w Gärtnerei i miesza ze śmieciami z całego obozu i ekskrementami z latryn. Nie dopalone kości idą do młynka, który miele je na mączkę kostną; mączka dokładnie odważana w worki po 50 kg, skrupulatnie księgowana w księdze magazynowej, sprzedawana jest jako nawóz sztuczny. Tu się sprawdzają dosłownie i w tempie przyspieszonym słowa: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz”. Zeszłoroczny kompost został w zimie wywieziony na pola w Gärtnerei, gdzie sadzą tam teraz brukiew i kapustę dla kuchni obozowej. Gdy rodzina, powiadomiona po kilku miesiącach o śmierci więźnia, prosi o przesłanie jego prochów, po uiszczeniu odpowiedniej opłaty dostaje w puszcze trochę popiołu, który akurat teraz wygarnięty został z pieca. Prochy, o które zabiegają najbliżsi, zostały już dawno wywiezione na kompost.

W obozie powstał wielki ruch. W połowie maja nadszedł nowy transport Żydów z Warszawy. Przyjechało parę tysięcy osób, mężczyźni, kobiety i dzieci, nawet niemowlęta. Esesmani przestają się już nami interesować na polu, wszyscy zajęci są przy Żydach. Przyjechali w nocy i umieszczono ich w tzw. Rosengarten („ogród róż”). Nazwa ta brzmi bardzo romantycznie — ale tam ani ogrodu, ani róż nie ma. Po prostu obok budynku, w którym

mieści się łaźnia i Gaskammer, jest morgowy plac ogrodzony drutem kolczastym. Tam pod gołym niebem trzymano cały transport aż do rana, a rano zaczęło się przyjmowanie transportu. Przede wszystkim oddzielono mężczyzn od kobiet i dzieci. Walizy i tobołki odbierają Niemcy przed wejściem do łaźni, tam każą się rozbierać i strzygą. Potem stoją Żydzi przed komisją, tutaj muszą otwierać usta i podnosić ręce do góry, a to dla skontrolowania, czy przypadkiem ktoś z nich nie usiłuje przeschmugować biżuterii. Komisja ta segreguje więźniów, zdrowych młodych kieruje do jednej łaźni, a osoby starsze, chore i młodociane (z wyjątkiem matek) — do drugiej łaźni. Do tej ostatniej wpuszczają znacznie więcej osób, aniżeli wskazywałaby liczba przysniców, tak że kąpiel w takich warunkach byłaby prawie niemożliwa. Mimo to kierują tam wciąż następnych, robi się coraz ciasniej, w końcu stoją już w takim ścisłku jeden przy drugim, że z trudem za ostatnim można zamknąć drzwi. Niestety, z przysniców nie spływa woda, za to po chwili z niepokojących otworów, umieszczonych w suficie, sączy się gaz „cyklon”. Esesman patrzy przez wziernik w drzwiach i czeka, kiedy skłębiona masa przestanie się ruszać; potem zamyka otwory gazowe i puszcza w ruch wentylatory. Komora pozostaje zamknięta aż do apelu wieczornego, po czym przyjeżdżają ciągniki, każdy z trzema przyczepami, i odwożą trupy do krematorium mieszczącego się naprzeciw, po drugiej stronie drogi, między I i II polem. Obok stoi tam też barak — pralnia. Ponieważ Gaskammer nie może być w ciągu dnia opróżniona, bo leży w środku obozu i wszyscy widzieliby wywożone trupy, resztę niezdatnych do pracy Żydów odsyłano do szopy przy krematorium. A gdy apel wieczorny się skończył i ruch w obozie ustał, wtedy zabierano się do likwidowania owej reszty Żydów zamkniętych w szopie. Oto otwierają drzwi szopy i każą Żydom rozbierać się i wchodzić po jednym do sąsiedniego pomieszczenia. Przy drzwiach w drugim pomieszczeniu stoi dwu oprawców z żelaznymi rurami, każdy wchodzący Żyd dostaje kilka uderzeń w głowę, a gdy zwali się już z nóg, wołają następnego, którego ciało rzucają na trupa pierwszego i tak dalej, aż wylukają wszystkich. Spod ścian szopy wypływa struga krwi na podwórze. Ściany kaźni obryzgane są mózgiem. Jednego dnia zagazowano i ubito łomami tylu Żydów, że piec w krematorium nie był w stanie pochłonąć ich w ciągu całej doby. Na terenie Gärtnerei, w wąwozie, budują strzelnicę. Więźniowie widzieli ułożony na szynach żelaznych stos drzewa, a na nim trupy; potem Niemcy oblewają to wszystko mieszkanką benzynowo-spirytusową i podpalają. Następnego dnia po nadejściu transportu zawsze wysoka, ciemna smuga dymu snuła się nad wąwozem — a gdy wiatr zawiał w kierunku obozu, czuć było zapach palonych kości, włosów i tłuszczu. Ogień ten pali się dzień i noc i na stos dorzuca się następne trupy.

W upalny dzień szosą maszeruje duża kolumna, unosi się nad nią tuman kurzu. Kolumna skręca do obozu. Ledwo znalazła się przy szlabanie, ledwo weszła na drogę obozową, a tu szosą sunie już nowa gąsienica — rój ludzi. Dłuższy czas stoją przed szlabaniem, potem skręcają do obozu. Pracują wtedy z moimi ludźmi przy koszeniu chwastów wzdłuż drogi prowadzącej od szopy, oczywiście wewnątrz Postenkette. Widzę te kolumny zupełnie z bliska. Sami chłopcy — starcy, kobiety, dzieci, stosunkowo mało mężczyzn. Wszystko obladowane dużymi tobołami, kożuchami, garnkami. Pot się z tych ludzi leje, dźwigają cały swój dobytek. Wiele kobiet niesie na ręku niemowlęta. Esesmani pędzą ich do Entlausung, ale nie przebieżają, ograniczają się tylko do odebrania dobytku.

Wprowadzają ich na III pole i na jeden blok przydzielają po 1000 do 1200 osób. W każdym łóżku mają spać dwie osoby, więc 800 osób na łóżkach, a 400 na podłodze, w przejściach. Nowo przybyli pochodzą z powiatu bilgorajskiego, zamojskiego i hrubieszowskiego. Opowiadają oni, że do wsi przyszło wojsko i kazano w określonym terminie zaprowadzić cały żywy inwentarz do najbliższego miasteczka celem zarejestrowania. Tam odebrano im bydło, a konwojentów zatrzymano. Następnie kazano wszystkim opuścić wieś i pognano ich pieszo lub zawieszono kolejną na Majdanku. Nie zdają sobie sprawy, że są w obozie koncentracyjnym. W ciągu kilku dni III pole kompletnie się zapełnia. Ogółem przybyło około 14 000 chłopów. [...] Do basenu nie wolno nikomu podchodzić, a gdy zdarzy się, że kilku chłopów niepostrzeżenie dopadnie z miskami do naszego kubła, momentalnie wyczerpują zeń wszystką wodę, a tak się przy tym nawzajem popychają, że jeden drugiemu wylewa wodę z miski. Co za lotrostwo tak znęcać się nad niewinnymi ludźmi, a przede wszystkim nad dziećmi i kobietami! Szokują nie dają na siebie długo



Z zestawu „Majdanek”
Fot. Andrzej Polakowski

czekać. Starsze kobiety pokładają się na placu spelowym i codziennie liczą po 8—10 trupów, mimo iż ci ludzie nie są ani biali, ani specjalnie głodzeni. Dostają to samo wyżywienie co my, mogą się w ciągu dnia wyspać. Cóż ci chłopcy zawinił? Chyba tyle, że są Polakami; na ich gospodarstwach osiedlają się teraz volksdeutsche z Chorwacji, Słowenii, Serbii. A nasi naiwni wciąż się martwią o to, kto będzie kosił siano, co stoi jeszcze na łąkach, kto będzie zbierał żyto i pszenicę. Ludzą się, że wrócą do swych gospodarstw!

Zelent wpadł na nowy pomysł. W komandzie jego pracuje inżynier Eustachy Gorecki, człowiek niezwykle zdolny. Potrafi rysować równie dobrze lewą ręką jak prawą, cudownie gra w szachy nie patrząc na figury — wygrywa partie odwrócony plecami do szachownicy; gdy mu relacjonują pousunięcia partnera, pyta go czasem, dlaczego zagral w ten sposób i pozwala mu cofnąć ruch; potrafi lewą ręką kreślić litery pismem lustrzanym. Szczęśliwie natomiast, ten który pracował przy restauracji zamku w Zamościu, zna na pamięć architekturę tej budowli. Wspólnie sporządzili oni szczegółowy plan i Zelent podsunął feldführerowi myśl, by dla dekoracji pola postawić taką miniaturę twierdzy; inne pola ozdobiły swe ogródki prymitywnymi miniaturami „Burgów” w stylu gotyckim. Feldführer zapalił się do tego planu. Nasza wiara wzięła się do roboty. Nie mówi się oczywiście, że to Zamość, tylko jakiś wytwór fantazji. Wyrabiała się tysiące miniaturowych cegiełek z cementu, czworokątnych i pięciokątnych na zalamanie muru. Zamek stawia się na nasypie koło Waschbaracke. Fundamenty robi się z betonu. Twierdza ma w przekroju około 7 metrów, buduje się wały forteczne, mosty zwodzone i skarpy. Majstrowie murarscy wyczarowują cacko. W obozie koncentracyjnym staje miniatura zamku z Zamościem! Co za radość. Robota pali się w rękach. Ja już obmyśliłem projekt obsadzenia twierdzy karłowatymi koniferami, contoneastrami i rozmaitymi skalnymi roślinami, które widziałem w szkółce Gärtnerei. Gorecki opracował tarce herbowe i nadproża, odmienne dla każdej z trzech bram. [...] Niespodziewanie przyjeżdża do nas szef bauhofu, oficer SS nie podlegający komendantowi obozu. Gdy zobaczył budujący się Zamość, kazał natychmiast robotę wstrzymać i rozebrać budowlę, a cegły rozbić na tłuczeń do wysypywania ścieżek i dróg. Szkoda, że nie udało się projektu zrealizować do końca. Zelen, Szczęśliwski, Gorecki i zatrudnieni przy budowie murarzy składają sobie ślubowanie, że jeśli dożyją chwili odzyskania wolności i niepodległości, na tym samym miejscu postawią miniaturę Zamościa.

Niedziela przynosi nam sensację. Uciekło dwóch Rosjan: kapitan radziecki i drugi — cywil. Pracowali w jakimś składzie węglowym dla SS. W niedzielę kommando nie wyruszyło do pracy z powodu mgły i stała tylko mała Postenkette. Kiedy esesman, eskortujący ich, wszedł do składu, gdzie obaj pracowali, Rosjanie obezwładnili go, zakneblowali mu usta, rozebrali do bielizny, związali sznurami. Jeden przebrał się w jego mundur i z karabinem na plecach eskortował kolegę w kierunku lasu — ślad po nich zaginął. Ładna, czysta robota.

W kilka dni później nowa ucieczka. Z IV pola w najzuchwalszy sposób zbiegli trzej więźniowie Polacy, wśród nich Paweł Dąbek. W nocy przeszli przez druty kolo bramy, między Blockführerstube a wieżą. Nikt ich nie zauważył.

Tom wspomnień Jerzego Kwiatkowskiego — doktora praw, byłego oficera WP i AK, więźnia obozów koncentracyjnych: Majdanka, Oświęcimia i Sachsenhausen — opublikowało Wydawnictwo Lubelskie w 1948 r. pl. „18 dni na Majdanku”. Drukowane fragmenty pochodzą z różnych części książki.

ROGACIZNA

Dokończenie ze str. 1

„NOTATKA SŁUŻBOWA. 11 lipca 1975. Istnieje konieczność natychmiastowej interwencji, ponieważ prawidłowe badanie środków spożywczych jest niemożliwe bez należytej wyposażonej sprężarki i dobrej jakości pożywek”.

„NOTATKA SŁUŻBOWA. 31 lipca 1975. W pomieszczeniach jest brudno, mnóstwo much, brak siatek, przecieka dach, z sufitu płatami odpada tynk [...] Zachowanie jałowości przy badaniach jest niezmiernie trudne”.

„NOTATKA SŁUŻBOWA. 11 października 1975. Uważam badanie środków spożywczych w tych warunkach za bezcelowe”.

— Wiem, że pani ma rację — powiedział dyrektor, przenosząc panią Cegielską do Wojewódzkiego Weterynaryjnego Inspektoratu Sanitarnego.

Pan Cegielski nabawił się rogów przy brucellozie. Brucelozą wybuchła w Ostródzie w 76 roku, zaś pan Cegielski, zajmujący się zwalczaniem chorób zakaźnych u zwierząt, prowadził w tej sprawie śledztwo. Wyszło, że do Ostródy, gdzie znajdowały się zakłady mięsne, przywożono bydło z różnych miejscowości, a to z Zielonej Góry, a to z Gorzowa, a to z Pily. Byłoby powinno być zaopatrzone w świadectwo lekarskie oraz zaświadczenie, skąd pochodzi. Jakoś tak się działo, że te świadectwa gubiły się po drodze, więc na miejscu dorabiano nowe, żeby wszystko było w porządku. Brucelozą u ludzi, którzy się nią zarażają od bydła, prowadzi do bezpłodności, zwyrodnienia stawów. Uboju zwierząt chorych dokonuje się w specjalnych warunkach sanitarnych. W Ostródzie nie było podstaw, by je stwarzać: sto osiemdziesiąt osób zarażono się przy obróbce mięsa chorych krów, parę obór wyróżniło do ena. Co było robić, kiedy się okazało, że te krowy, które wzięto za zdrowe, wcale zdrowe nie były?

Dalej przysła kolej na świnię: których nie wykrył pomór, tym dała radę leptospiroza oraz inne świńskie świństwa: nie wykryto ich na czas, ponieważ świnię sprowadzane były z województwa warszawskiego na podobną zasadzie, co krowy z zielonogórskiego. Niektóre świnki nie wyżyły także dlatego, że przyzwyczajone były czasem coś zeżreć albo chociaż wypić, zaś na przykład w SKR w Olsztynku mieli zwyczaj przez parę dni nie dawać nic.

Stosunkowo bezpieczne wydawały się jagnięta, ale, rzecz jasna, tylko do czasu. Dopadnięto je w końcu przy pomocy zakaźnego preparatu produkcji Zakładu Higieny Weterynaryjnej, który to preparat wstrzykiwano zwierzętom na wzmocnienie.

O tym wszystkim pan Cegielski pisał regularnie w różne miejsca, między innymi do Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii, że dozór jest zły, administracja za duża, straty milionowe. Kiedy już rogi pana Cegielskiego były dostatecznie okazałe, zaproponowano mu inne stanowisko, takie, żeby już nie musiał pisać tych raportów.

U pani Cegielskiej przez trzy lata z rogami był spokój. Dopiero jak przyszedł nowy dyrektor, wyszło na jaw, że są tylko się przyczaiły. Dyrektor, czyli Wojewódzki Weterynaryjny Inspektor Sanitarny, był taki, że jak go spytano, czy wymieszanie mięsa zdrowych saren z mięsem sarny chorej na wściekliznę szkodliwie może konsumencjom, to odpowiedział, że wcale. Wściekliznę sarną jeszcze za poprzedniej dyrekcji wsadzono do chłodni, gdzie czekała dwa lata, ale warto było, bo nowy dyrektor zaraz się nią zajął. Napisał mianowicie do swojego ministra, że tak i tak, trzyma już dwa lata, więc czy można uznać wściekłe za zdro-

we. Ministerstwo siłą głów Departamentu Weterynarii odpowiedziało, że jak sarnie leć ucięto, a tylko resztę przeznaczono do konsumpcji, to „prawdopodobieństwo niebezpieczeństwa dla ludzi jest niska”, w związku z czym można uzdatniać, tylko ludzi do tego trzeba zaszczepić. Do uzdatniania wybrano dziewięć osób, którym wmówiono, że są bezpieczne, bo szczepione były dwa lata temu, kiedy sarnę wkładano do zamrażalnika. Jednakże zaraz po jej obrobie w ramach uzdatniania, powstało podejrzenie, że może to i nie było bezpieczne, więc ludzi zaszczepiono ponownie, czyli wladowano w brzuch w sumie dwie bolesne serie, z których jedna już wystarczy, żeby spowodować powikłania (stączyście u sześciu na stu szczepionych). Dodatkowo wyszło na jaw, że w sprawie wścieklizny obowiązują u nas przepisy, przedwojenne nawet, wedle których „całą sztukę zwierzęcia wraz ze wszystkimi narządami uważa się za niezdatną do spożycia”.

Pani Cegielska nie doczekała już w Wojewódzkim Weterynaryjnym Inspektoracie Sanitarnym momentu, kiedy dyrektora od wścieklizny awansowano na zastępcę dyrektora Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii. Przenosząc się do Zakładów Mięśnych, nie miała pojęcia, że tam to dopiero rogi rosną.

„NOTATKA SŁUŻBOWA. 2 kwietnia 1979. W trakcie pełnienia nadzoru nad produkcją wędlin w masarni nr 1 Zakładów Mięśnych w Olsztynie ustaliłam, że jako stały dodatek niemięsny stosowane jest tu teksturowane białko mleka. Z uwagi na brak aktualnego zezwolenia władz weterynaryjnych na stosowanie tego preparatu, proszę o pilne wyjaśnienie oraz zajęcie stanowiska w sprawie dalszej produkcji wędlin z dodatkiem teksturowanego białka mleka”.

„NOTATKA SŁUŻBOWA. 24 maja 1979. [...] Z uwagi na zdarzające się przypadki występowania w nim cech organoleptycznych, budzących zastrzeżenia jakościowe, jak również — nasuwających podejrzenie o nieprawidłowościach pod względem mikrobiologicznym, proszę o zajęcie stanowiska [...] Tym bardziej, że trwające upały budzą szczególny niepokój o jakość gotowego produktu”.

„NOTATKA SŁUŻBOWA. 31 maja 1979. Produkcja wędlin w tutejszym zakładzie odbywa się praktycznie poza nadzorem WIS”.

Sytuacja w Zakładach Mięśnych była w rzeczy samej osobliwa, przy czym dla każdego w inny sposób. Bo na przykład jeśli pani Cegielska wykrywała w kielbasach beztlenowce, a potem się okazywało, że te kielbasy są zjadane, to można zrozumieć, że ją to wprawiało w niejaki niepokój. Beztlenowiec bowiem jest to takie coś, co może powodować powstawanie jadu kielbasianego. Jak zaczęła się przyglądać dalej, to się okazało, że również z mięsem zakwestionowanym na przykład z powodu wagrzyca dzieje się to samo, co z „jadowitą” kielbasą: wali do konsumenta prostą drogą, nie zważając na kontrole.

Konsument zresztą wcale nie lepszy: co dopadnie, to pakuje do torby, a potem wcale oddać nie chce. W 74 roku na przykład jeden pan z Olsztyna kupił mięso w sklepie i wbrew wszelkim zasadom zaczął mu się przyglądać. Skutkiem tego udał się do „Sanepidu”, żeby się dowiedzieć, czy mięso może aż tak wyglądać, no i zaraz potem trzeba było wezwać milicję, żeby w radiowozach ścięła to mięso po całym mieście. Okazało się, że ono było węgrowate i milicja ogłaszała przez megafon, że wszyscy, którzy coś kupili, zaraz mają się przyczaić: nie było nikogo takiego, co by się obkupił, a nie pożałował.

Z tego właśnie względu czas pracy pani Cegielskiej w zakładach mięśnych wypełniony był bieganiami między halą mięsą a magazynem w poszukiwaniu zaginionych tusz wołowych i wieprzowych oraz pisanem notatek służbowych do kierownika, który niewykluczone, że byłby się nimi przejął, gdyby nie był na ogół pijany.

Za to dyrektor Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii wysłuchał pani Cegielskiej z serdecznym współczuciem, po czym polecił uwadze swojego zastępcy, który niezwłocznie powiadomił panią Cegielską, że za oskarżenie kierownika o pijaństwo zostanie oddana prokuratorowi. Obecna przy rozmowie załoga Weterynaryjnego Inspektoratu Sanitarnego Zakładów Mięśnych dowiedziała się, że jeśli chce, to ma kierownika złapać na pijaństwie, pobrać krew oraz udowodnić, iż zawiera ona alkohol. W przeciwnym razie pójdzie ona, znaczy się załoga, szorować ubikacje, lub się ją w ogóle przesieje i puści z torbami.



Rys. Wiesław Fuglewicz

Cokolwiek by się powiedziało o inspektoracie sanitarnym w Zakładach Mięśnych oraz nadzorującym go Wojewódzkim Zakładzie Weterynarii, pewne jest, że sytuacja zrobiła się tam nerwowa. 12 lipca 1979 wydano pani Cegielskiej opinię: „Długoletnia praktyka zawodowa, poparta niezwykle sumienną pracą i nienagannym wykonywaniem swoich obowiązków zjednała jej w środowisku zawodowym duży autorytet. Mimo pełnego zaangażowania w pracę, stale podnosi swoje kwalifikacje zawodowe, czego dowodem jest uzyskanie stopnia doktora nauk weterynaryjnych. Jest pracownikiem, z którego wiedzy i umiejętności korzystają na co dzień młodzi pracownicy służby weterynaryjnej”, zaś 5 kwietnia 1980 roku napisano, iż jej zachowanie „prowadzi do naruszenia zasad współżycia społecznego” a „pozostawienie ob. Cegielskiej na dotychczasowym stanowisku pracy doprowadzić może do zastosowania wobec niej wypowiedzenia umowy o pracę, gdyż takie jej zachowanie narusza obowiązki pracownika, dając podstawy nawet do rozwiązania umowy o pracę bez wypowiedzenia”.

22 kwietnia pani Cegielskiej wypowiedziano jej dotychczasową pracę, przenosząc ją do chłodni.

Terenowa Komisja Odwoławcza do spraw Pracy odrzuciła jej wniosek odwoławczy, nie chciała też słuchać wskazanych przez panią Cegielską świadków, ponieważ „nie dają rekwizytów obiektywności zeznań”. Komisji chodziło mianowicie o to, że owi kandydaci na świadków byli karani przez swoje kierownictwo za niesubordynację, co by znaczyło, że kierownictwo nie było aż tak pijane, skoro stało je było na wyartykułowanie nagany. W czas jakiś potem wyszło jednak na jaw, że musiało ono mieć z wczasy być bardzo pijane, zatrzymane bowiem

zostało w takim właśnie stanie przez Wojskową Grupę Operacyjną, po czym dyscyplinarnie zwolnione z pracy.

Kilkakrotnie odwołania oraz odwołania od odwołania na przemian pani Cegielskiej i Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii, zbieranie opinii, z których ani jedna nie potwierdziła konfliktowości pani Cegielskiej, natomiast wszystkie — pijaństwo jej kierownika, musiały w końcu zdenerwować Okręgowy Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Olsztynie. Oddalając odwołanie pani Cegielskiej, sąd w sentencji wyroku napisał, iż specjalna komisja powołana przez Wojewódzki Zakład Weterynarii, stwierdziła: „Jedynym zarzutem potwierdzonym było przebywanie kierownika w stanie wskazującym na spożywanie alkoholu z okazji imienin, innych uroczystości lub kontaktów z instytucją współpracującą, nie zaś fakt notorycznego pijaństwa, jak zeznawała wnioskodawczyni [...] Wypowiedzenie zmieniające warunki pracy wnioskodawczyni jest zatem uzasadnione, zarówno potrzebami zakładu pracy, jak i dążeniem do poprawy stosunków służbowych i międzyludzkich”.

Po paru miesiącach, kiedy wyroki przeszłości przestały być bezapelacyjne, 18 grudnia 1980 roku na zebranie załogi WIS w Zakładach Mięśnych w Olsztynie poproszono dyrektora Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii. Przy tej okazji wyszło na jaw, że rogi nie są unikalną właściwością pani Cegielskiej. Dyrektorzy konfrontowani z przedstawicielami załogi, która niedawno jeszcze nie dawała rękoma sądowi, mieli poważne kłopoty z przypomnieniem sobie, co to się działo w tych zakładach mięśnych. Na koniec spotkania stanęło na tym, że wszystkie kary (i nagrody), które wcześniej udaremniły personelowi wystąpienie przed okiem sprawiedliwości, zostaną wycofane z akt.

W 1980 roku, pracując na fermie tuczu trzody chlewnej, pan Cegielski zauważył, że wyniki laboratoryjne wykazują w PGR-ach co roku 20—30 procent świń podejrzanym o to, że są chore na leptospirozę. W 1982 roku, otrzymawszy wyniki badań, wskazujące, że na jego fermie 60 procent knurów jest podejrzanym, poddał je dodatkowym badaniom w innych laboratoriach, skutkiem czego wszystkie knury zostały ułaskawione i oczyszczone z podejrzenia. Tak długo wszystko szło radośnie, aż coś pana Cegielskiego naszło i postanowił pochwalić się ministerstwu: na każdym knurze zle zbadanym, czyli przedwcześnie zarżniętym, traci się 15 tysięcy złotych, a takich knurów jest rocznie kilkadziesiąt na jednej fermie. „Odnośnie postępowania przy leptospirozie, to sygnał ten przekazaliśmy do Instytutu Weterynarii dla poprawienia, względnie zmiany obowiązującej instrukcji” — napisało ministerstwo. — „Pragniemy jednak zauważyć, że instrukcje te, obowiązujące od lat, nie budziły dotychczas żadnych wątpliwości w innym województwie, a jedynie olsztyńskim”.

2 lipca 1983 roku w Lidzbarku Warmińskim na pastwisku pegeerowskim padła jałowka, a po paru dniach dwie następne. Technik weterynaryjny stwierdził, że jego zdaniem to jest wścieklizna. Lekarze z Lidzbarka stwierdzili to samo. Tylko laboratorium olsztyńskiego Zakładu Higieny Weterynaryjnej, trzykrotnie zbadawszy wysłane próbki, stwierdziło, że w żadnym wypadku nie może to być wścieklizna.

W pierwszych dniach sierpnia Wojewódzki Zakład Weterynarii zdecydował się wysłać próbki do Warszawy, skąd już 5 sierpnia oddzwonili, że bez cienia wątpliwości to jest wścieklizna.

Pięćdziesiąt osób dostało surowiec w brzuch, trzynaście jałówek padło. Przyczyną bada komisja: prawdopodobnie wszystkim winne są „mikroskopowe, które nie były do badań dobrze nastawione”.

Ilona Morzół

Nazwiska bohaterów reportażu na ich prośbę zostały zamazane.

SZTUKA I REWOLUCJA

ARTYSTYCI byli zawsze dziećmi wolności, bez niej nie mogą istnieć. Przeto wolność nie może mieć bardziej oddanych obrońców niż artyści — oświadczył w 1792 roku przewodniczący francuskiego Zgromadzenia Prawodawczego czasów rewolucji.

W okresie dyktatury jakobinów sześciu artystów malarzy uzyskało szlify generalskie w formacjach armii rewolucyjnej, trzech innych, w tym Jacques Louis David, zasiadało w Konwencie. Artyści wchodzili też w skład Komuny, Trybunału Rewolucyjnego...

Po obaleniu jakobinów 10 malarzy oddało głowy gilotynie.

Fakty te wyjąłem z opublikowanej właśnie przez Wydawnictwo Lubelskie, w bardzo atrakcyjnej szacie graficznej i na dobrym papierze, książki Grzegorza Leopolda Seidlera „W nurcie Oświecenia”. Prawie 300 stron tomu wypełniają eseje i rozprawy w większości ogłoszone wcześniej w różnych periodykach naukowych, nie tylko polskich, a więc tam, gdzie nie dociera z reguły zainteresowanie przeciętnego inteligenta. Dobrze się zatem stało... Tym bardziej, że profesor, wpisany w barwną legendę dzięki swojej działalności na stanowisku

rektora UMCS i dość niekonwencjonalnym kontaktem ze studentami, pióro posiada giętkie, a sposób wypowiedzi tak przejrzysty, że grozi chyba budzący u junaków nauki naszej, którzy „pogłębiają” teksty własne farsem leksykalnym w rodzaju „kontekstów”, „dystynkcji”, „generowania” czy innego kiwania się w stronę sfermięznego strukturalizmu, semiologii i tzw. pretensjonalizmu.

Racjonalista, profesor Seidler, urzeczony zdaje się być Oświeceniem, nie na tyle wszakże, by nie dostrzegać dramatycznych aspektów konfrontacji nowoczesnych idei czy doktryn filozoficznych z praktyką społeczną. Zostawmy jednak te kwestie osobom lepiej zorientowanym w dialektyce procesu historycznego. Jako tzw. krytyk sztuki wdzięczny jestem autorowi za szkic pt. „Patos rewolucji jakobińskiej”, w którym podniesiono sprawę zaangażowania sztuki w wielką transformację. Ten tekst jest krótki, ale ile w nim powodów do historycznej i całkiem współczesnej refleksji.

Wskazując na kiepskie opanowanie przez lud umiejętności czytania, Seidler stwierdza: „Stąd istotną rolę dla formowania świadomości mas miały festiwale ludowe, o których David —

główny ich iniektor, organizator i reżyser — mówi, że są wykonywane przez lud i dla ludu. Starannie przygotowywane mobilizowały tysiące ludzi, którzy brali w nich udział, a jednocześnie były oglądane przez tłumy widzów. Skuteczność tych masowych imprez w wielkim stopniu zależała od współpracy różnych artystów, gdyż festiwale oddziaływały zarówno dekoracjami plastycznymi, muzyką, jak też deklamowanym bądź śpiewanym słowem”.

Wśród przykładów takich masowych imprez autor umieszcza m.in. uroczystość przeniesienia zwłok Woltera do Panteonu (w 1778 roku kler nie zgodził się na kościelny pogrzeb filozofa). „Pochód, w którym miało brać udział sto tysięcy osób, wyróżniał się dekoracjami wzorowanymi na antyku, specjalnie na tę uroczystość skomponowano muzykę i chóralne pieśni. Nieśmione chorągwie, posągi i symbole miały wyraźny charakter świecki, mimo że pochód przypominał procesję kościelną”. A ja pozwolę sobie przypomnieć, że...

Okolo 130 lat później, po wybuchu rewolucji październikowej w Rosji, awangarda artystyczna przyłączyła się do bolszewików i również — mając m.in. na uwadze analfabetyzm ludu — zaczęła organizować ogromne „festiwale” uliczne. W latach 1919—1920 na największych placach Piotrogradu grane są sztuki — misteria. W inscenizacji widowiska „K mirowoj Kommunie” uczestniczy 4000 ludzi. „Wzlatie Zimniego” przedstawia 8000 osób przed tysiącami widzów, a cały skład Czerwonej Floty w Odessie bierze udział w „Pobiedzie internacjonalu”. Takim

widowiskom towarzyszą prawdziwe salwy z armat pancernych i karabinów. W „Symfonii syren”, odegranej w porcie Baku, uczestniczyli: „cała Flota Kaspijska, dwie baterie, rotę strzelców, oddział karabinów maszynowych, auto-kolumna oraz zjednoczona orkiestra wojskowa w liczbie 200 ludzi”.

Czy współczesne happeningi i akcje, potocznie uważane za twory bezwzględnie nowoczesne, nie mają swoich źródeł w festiwalach i widowiskach z czasów dwóch wielkich rewolucji nowożytnego świata? Naturalnie trudno tu mówić o związkach bezpośrednich, o identyczności struktur artystycznych, dawnych i dzisiejszych, ale faktem pozostaje, że próby wyprowadzenia sztuki na ulicę, zanurzenia jej w materię życia mają, jak widać, długą tradycję. Daje przy tym do myślenia fakt, że termin „awangarda”, tak obecnie rozpowszechniony w retoryce krytycznej i obiegowej, został po raz pierwszy „wyjęty” z leksykonu wojskowego, gdzie było jego pierwotne miejsce, właśnie przez ideologów i polityków rewolucji francuskiej, by z ich pośrednictwem trafić w obszar sztuki.

„Artyści czynnie zaangażowani w organizowaniu uroczystości masowych, związani byli z kulturą polityczną jakobinów, zwalczających elitarną organizację, jaką była Królewska Akademia Malarstwa i Rzeźby” — wskazuje profesor Seidler. A mnie już nie pozostaje nic innego, jak zachęcić Państwa do zanurzenia się „W nurcie Oświecenia”.

IJK

Egzaminy nie zdają egzaminów

lub przez kilka lat. Oni znają dobrze kwalifikacje osób przystępujących do egzaminów. Watpie w to, by uczeń, który bimbał sobie przez wiele lat nauki szkolnej, w ostatnich tygodniach przed maturą mógł nadrobić wszystkie braki. Przystępując do egzaminu dojrzałości, najczęściej liczy on na szczęście. I czasem mu się udaje... Czy wtedy nauczyciel, który wcześniej doskonale poznał tego abiturienta, powinien brać pod uwagę wyniki egzaminu maturalnego czy raczej jego dotychczasową kilkuletnią pracę i naukę w szkole?

Przez doskonałe egzaminów wstępnych czy maturalnych nie podnieśliśmy poziomu wiedzy uczniów lub studentów, nie wychowamy lepiej młodego pokolenia. Trzeba szukać innych dróg naprawy zła, które jest widoczne w życiu społecznym i w szkołach.

Trzeba zmienić wiele: nie tylko w oświacie, ale przede wszystkim w instytucjach naszego życia społecznego. Chodzi o to, aby naukę szkolną ceniono w zakładach pracy, aby awanse zawodowe (szlubiowe) były determinowane „głową”, a nie „pięćmi”, poziomem wykształcenia i inteligencji, a nie koneksjami. Należy też przywrócić odpowiednią pozycję świadectwom szkolnym. Obecnie nawet dyplom maturalny został zredukowany do roli „załącznika” potrzebnego do dokumentów, ale nie on decyduje o przyjęciu na studia wyższe. Decyduje o tym wynik egzaminu wstępnego czyli — loteria!

W dyskusjach prasowych spotykałem takie opinie, że ocena na dyplomie maturalnym z jednej szkoły średniej nie jest równoznaczna takiej samej ocenie z innej szkoły. W związku z tym mam pytanie: czy oceny nauczycieli akademickich ze wszystkich uczelni wyższych są jednakowej wartości? I w imię jakich przesłanek logicznych kwestionuje się kwalifikujący sens i wartość dyplomów czy świadectw końcowych ze szkół średnich?

W pierwszych latach powojennych rzucał się w oczy ogromny zapal dzieci i młodzieży do uczenia się. Nie trzeba było nikogo do nauki zachęcać ani namawiać, nauka stanowiła wartość samą w sobie. Tarczę uczniowską ceniono wysoko. Ale po pewnym czasie coś się zaczęło psuć w naszym systemie wartości. Pierwszym widocznym tego sygnałem był chyba fakt, że tarcze szkolne przypinali

uczniowie przed wejściem do budynku szkolnego, a odpinali zaraz po wyjściu na ulicę.

Był czas, że dla ratowania prestiżu nauki szkolnej wprowadzono egzaminy po ukończeniu nauki w klasie czwartej szkoły podstawowej. Kolejne egzaminy czekały młodzież po ukończeniu klasy siódmej. Następnie pojawiły się egzaminy wstępne do wszystkich szkół ponadpodstawowych. Były też egzaminy po ukończeniu klasy dziewiątej i wreszcie egzaminy końcowe przed maturą i wreszcie matury. A następnie — egzaminy wstępne na wyższe uczelnie. I co się okazało? Ano to, że egzaminy nie zdążyły egzaminować! Tak rozmnożone, nie podniosły społecznej pozycji nauki szkolnej, świadectwa i nauczycieli. Nie miały więc sensu dyskutowanie nad doskonałością systemu egzaminów. Trzeba rozważyć i zmienić wiele — nie tylko w naszym szkolnictwie.

Dzisiaj odgórnie narzuca się limity przyjęć na uczelnie, takby nie było inneso, bardziej swobodnego systemu rekrutacji studentów, opartego właśnie na poszanowaniu dyplomu szkoły średniej. Taki dokument powinien upoważniać do bezpośredniego wstępu na uczelnie, a jak się tam rozmieszcza chętni do studiowania, to już należałoby pozostawić samym uczelonom zwolnionym oczywiście z obowiązku przestrzegania owych limitów.

Szkoły wyższe powinny mieć prawo do przyjmowania większej liczby osób chętnych do nauki, co nie znaczy, że wszystkich. Niech regulują to we własnym zakresie. Oczywiście, 100 proc. słuchaczy I roku nie dotrwa zapewne do czasu uzyskania dyplomu ukończenia studiów. „Odsiew” będzie znaczny — ale wcale nie większy, aniżeli jest obecnie! Dzisiaj olbrzymia liczba kandydatów na studentów odpada już na egzaminach wstępnych i kto powie, że jest to właściwa metoda selekcji?!

Pisze się, że najbardziej oplaca się inwestować w kadry. Niechaj te słowa nie będą bez pokrycia. Uważam za bezpodstawne głoszenie, że grozi nam przerośnięta inteligencja. Im więcej ludzi wykształconych, tym lepiej. Oby tylko wykształcenie było tak cenione, by młodzi ludzie chcieli kształcić się i na tej drodze widzieli swoją szansę awansu społecznego. Obecnie niestety bywa, że ukończenie studiów prowadzi do degradacji materialnej na całe życie.

Piotr Rudnicki

Dokończenie ze str. 1

stematycznie i nie opanowali wymaganych wiadomości i umiejętności. A ci, którzy bimbałi przez wiele lat nauki szkolnej, ale mieli sporo szczęścia i trafili na łatwe pytania, na egzaminie „wypadli” wspaniale. Byli wypoczęci, pewni siebie, no i udało im się!

Najdoskonalszą metodą oceny rozwoju intelektualnego młodego człowieka i opanowania przez niego materiału programowego jest obserwacja. Nauczyciele kontaktują się bezpośrednio z uczniami przez okres minimum jednego roku, a często przez kilka lat, i oni właśnie mają najlepsze możliwości oceny.

Na egzaminach stworzone są warunki sztuczne. Jest zwykle ogromne napięcie psychiczne, egzamin trwa kilka lub kilkanaście minut, więc trudno w takiej sytuacji ocenić zdającego lepiej, aniżeli ocenili go, jako ucznia, nauczyciele.

Nie wiem, dla jakich logicznych przesłanek istnieje w naszym systemie szkolnym egzamin maturalny. Przecież członkowie komisji maturalnej to przede wszystkim ci sami pedagodzy, którzy uczyli abiturientów — przez rok

Niekonsekwencje

Dokończenie ze str. 3

Spasowskiego w Warszawie. Placówki te zmodyfikowały swoją działalność w kierunku niesienia pomocy nauczycielowi przy jego warsztacie pracy.

Czy Zukowski zastanawiał się poważnie nad tym, co „kładzie” oświata? Czy nie dostrzegła zjawiska mającego być może wpływ na nauczanie, nie tylko w szkołach podstawowych, a mianowicie, że np. umiejętność pisania artykułu jest dziś mniej ceniona od umiejętności naprawienia spłuczki klozetowej? Czy rodzice ucznia i on sam tego nie widzą i czy nie działa to antymotywacyjnie na naukę?

Uwagi dotyczące wniosku o zniesienie kartkówki i klasówek z wszystkich przedmiotów (z wyjątkiem języka polskiego i matematyki) wypowiedziałem wcześniej. W tym miejscu powtórzę, że zgadzam się z autorem. Ale te sprawy regulują dotychczasowe programy, których przestrzeganie powinno być m.in. troską dyrektora szkoły. A dlaczego nie każdy dyrektor tym się zajmuje? Może dlatego, że

mало przebywa w szkole, że więcej czasu poświęca na reprezentowanie jej na zewnątrz (jeden z nich robił to 17 dni w czasie jednego miesiąca), że siedzi na zebraniach, a w środowiskach wiejskich dodatkowo je obsługuje, że pisze „kartkówki”-sprawozdania dla wielu jeszcze ośrodków dyspozycyjnych, że musi „zalatwiać” papier toaletowy (by go złożyć przynajmniej na czas kontroli „Sanepidu”), że kilka lat temu musiał zajmować się ponadto kontraktacją plodów rolnych... Podam przykład, być może osobisty, ale prawdziwy: w jednej ze szkół podczas lekcji otwierają się drzwi klasy, wchodzi urzędnik i pełnym pretensyjnym głosem zwraca się do prowadzącego zajęcia kierownika szkoły: „Wy tu uczycie, a kontraktacje leży...”

I na koniec rzec może najbardziej zdumiewająca. Autor stawia wszystko na jedną kartę i uzależnia realizację swojego „deka-

logu” postulatów od podwyższenia pensji nauczycielom. Sam jestem nauczycielem i chciałbym zarabiać więcej. Dobrze pracujący nauczyciel powinien zarabiać tak dużo, by nie musiał szukać dodatkowych źródeł dochodu, by miał czas na permanentne doskonalenie i na odpoczynek. Ale czy naprawdę dobra praca należy wyłącznie od podwyższenia pensji? Czy pieniądze są jedyną rekompensatą za pracę? Czy nauczyciele nie dotychczas hierarchia potrzeb ludzkich, o których tak przekonywająco mówi Maslow, a za nim polscy prakseologowie i psycholodzy prowadzący w tym zakresie badania?

Grzechy przypisywane szkolnictwu przez autora „Matolezja czy uczenia” są ciężkie, aczkolwiek trudno powiedzieć, że wszystkie zostały odpowiednio udokumentowane. W końcu nie wszystkie szkoły należy uznać za złe, a nauczycieli — do wymiany en masse. Ale jeśli już mowa o grzechach niektórych nauczycieli, to dorzuciłbym jako główny: traktowanie ucznia niczym przedmiot, numer. Bywają nauczyciele, którzy nie liczą się z godnością ucznia, nie mają dla niego szacunku ani serca. Bo o czym świadczą fakty sprawdzania obecności numerami („który numer dziś nieobecny”, „przyjdź do tablicy nr 13!”) lub pytania uczniów „co dzisiaj?”. Co nam to

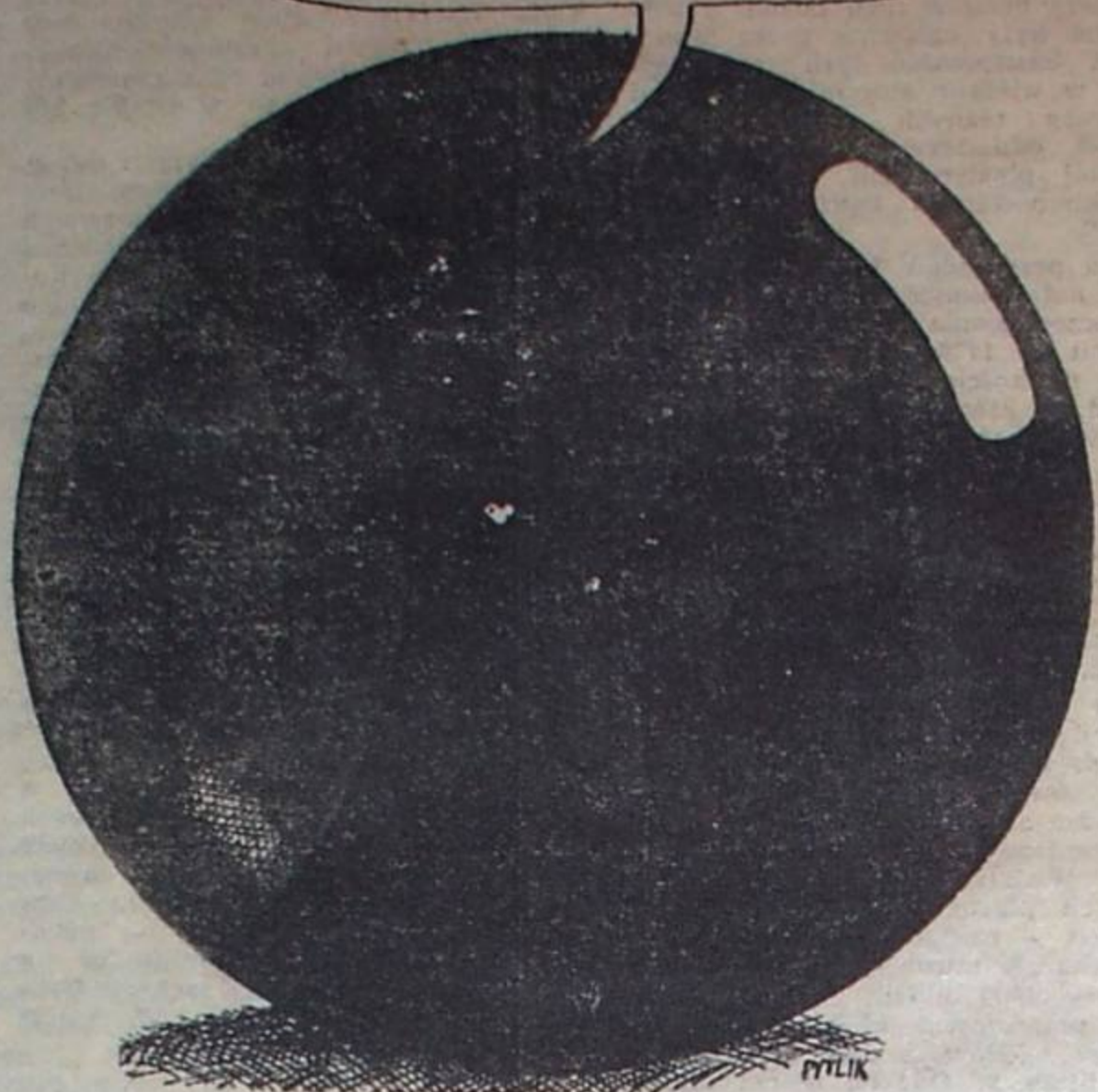
przypomina? Ale czy z tej racji mam powiedzieć, że współczesne szkoły są obozami karnymi? Niestety, czasami chciałoby się je tak nazwać, jeśli do podanych przykładów dorzuci się jeszcze jeden: dzieci wysypywały z kosza śmieci, a inne je zbierały, zarabiając na punkty ze sprawowania.

Ostatnia uwaga: opinia Skłodowskiej-Curie, przytoczona przez mojego, być może, przeciwnika, niczego jeszcze nie dowodzi. Wyobrażenie wielkiej uczonowej o szkole tamtych czasów mogło być w jej pojęciu słuszne, ale w przekonaniu zwykłego śmiertelnika — niekoniecznie. Przecież wówczas wychodzili też ze szkół nieprzeciętni ludzie, w tym i sama Skłodowska. Sądy wielkich ludzi nie zawsze muszą być trafne. Nie należałoby ich przyjmować jako dogmatu. U nas, w Polsce, co drugi człowiek jest podobnie „lekarzem” i pewnie też co drugi „zna się” na szkole!

Julian Kania

exad. 2554/1984/20

JESTEM WSZECHSTRONNY



Rys. Zygmunt Pylik

Plener „dochodzący”



Ostatni retusz przed wystawą

Fot. Krzysztof Helman

Niecodzienny sposób na lato w mieście odkrył członkowie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Lublinie. W tym roku po raz pierwszy zorganizowali plener „dochodzący” — pomysłowo, a na pewno taniej, niż w latach ubiegłych.

Jako goście Pracowniczego Ogrodu Działkowego „Podzamcze” zrewanżowali się gospodarzom obrazem, który działkowicze uznali w głosowaniu na wystawie poplenerowej za najładniejszy spośród 81 prac zaprezentowanych przez 20 uczestników pleneru. Dominowały obrazy olejne i akwarele z motywami kwiatów, ale zgodnie z tematyką pleneru zaprezentowano również kilka interesujących portretów i widoków Starego Miasta.

Przedstawiciel Wojewódzkiego Zarządu Polskiego Związku Działkowców złożył na ręce prezesa Towarzystwa, mgr Aliny Wawrzosek, zaproszenie na przyszłoroczny plener do dowolnie wybranego przez członków TPSP ogrodu działkowego.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEKSOTY

Charlie Chaplin, osiągnąwszy wiek sędziwy, zaczął pisać pamiętnik. Przyjaciele zapytali go, czy pisanie pamiętnika nie sprawia mu kłopotu. Chaplin odpowiedział:

— Wyobraźcie sobie, że nie. Bardzo łatwo jest wywoływać wspomnienia, gdy się już nie nie pamięta.

*
Niemiecki dramaturg Lessing otrzymał pewnego dnia przesyłkę zawierającą tekst opowiadania pt. „Dlaczego żyję”. Autor w liście prosił o ocenę opowiadania. Les-

ing po przeczytaniu utworu odpowiedział: „Żyje pan tylko dlatego, że przestał pan swoje opowiadanie poczytać, a nie przyniósł sobie!”

*
Gdy pewna dama o obfitym biuście skarżyła się Ignacemu Krasińskiemu, że „kaszel padł jej na piersi”, poeta odpowiedział: — Nie potłucz się!

*
Antoni Czechow poczuł się pewnego dnia źle. Wysłał więc służącego do apteki po lekarstwo. Po

jego powrocie pisarz otworzył pudełko i ujrzał dwie olbrzymie fiołki z lekarstwem. Wziął pióro i napisał na opakowaniu: „Nie jestem koniem”. Służący ponownie udał się do apteki i po pewnym czasie przyniósł sześć małych fiołek z lekarstwem.

Aptekarz uzyskał w ten sposób upragniony autograf pisarza, o który bezskutecznie zabiegał od dłuższego czasu.

Wyszperat:
Ryszard Dunin

Krzyżówka nr 20 z szyfrem

Poziomo: 3. miasto pod Wezuwiuszem, 5. tropikalna buiwa, 8. stopień na świadectwie, 11. głównym jego celem jest gromadzenie pieniędzy, 12. metal szlachetny, 13. państwa lub ich części, 14. produkt mieczarski, 17. zawartość, 19. np. Krakowako-Częstochowska, 20. mle morskie na godzinę, 21. ryba karpiowata, 22. autonomiczna republika radziecka na dalekiej północy, 24. dawny ul. 26. płaszczka, 27. zeszyt do zapisków, 28. ogrodzenie, 29. potrawa z żółtek wołowych, 31. nagłe zmiany tematu, 33. Sekwana po francusku, 34. król z okrągłym stołem, 35. wielki krewniak skrzypiec, 36. np. Diogenes, 37. psiki kraskowate, 38. naczynie na wodę.

Pionowo: 1. przeciwieństwo końca, 2. konieczne dla oznaczenia nut b, es, as itd., 3. nieodzowna w akcie, 4. ważne zebranie, 5. nabiera wodę w swe pory, 7. sprzęt wodociągowo-kanalizacyjny, 9. królewski hotel, 10. w rogu szachownicy, 15. członek uprzywilejowanej klasy społecznej w feudalizmie, 16. ujęcie filmowe, 18. Ziemia i okolice, 19. hałaśliwa zabawa, 20. ruch powietrza, 23. koplec leśnych owadów, 25. nazywano ją czterdziestką, 28. pomnik, 29. niepowodzenie, 30. zewnętrzna część aparatu radiowego, 31. stolica państwa azjatyckiego, 32. strefa.

Szyfr

G6 / A3, C10, J14, H4, E9, G10, C1, F3 / I10, L17, C9, L5, M11, A7 / G13, O6, F4, A18, L2, H17 / A13, O4, O13, K3, M1 / J8 / O2, D3, G9, E1, F9, N17, D8, A6, A16 / J15 / M7, O15, F14, C15, I8, O9, E3, I5 / M10, L4, C5, A15, E17, C7, B17, B5, F5 / I17 / O5, L3, E1 / K9, M15, G15, N13, B3.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy za 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 18 Z SZYFREM

Poziomo: obywatelstwo, rtec, lin, Gorki, róża, ogon, oferta, kaduceusz, biel, atlas, wazy, Lima, szczyście, Rzepin, Wola, Ikra, balon, Lec, Edyp, zjednoczenie.

Pionowo: zbrodniarz, kalf, dezercja, ostraka, molekula, Arno, peto, kotlarz, gnu, eulina, Szymonowic, leśniczy, receptor, weranda, cal, Ibiza, orda, Alpy.

Szyfr

Czy ptak, którego by nauczono czytać nuty, śpiewałby nadal.

Meichior Wańkowiec
Karafka La Fontaine'a

Nagrodę otrzymuje Grażyna Bogusz, ul. Nałęczowska 100, 20-954 Lublin.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
A	1	2	3				4					5	6		7		
B	8										9						10
C				11													
D	12											13					
E				14					15		16						
F	17		18											19			
G					20						21						
H	22	23												24			25
I			26					27									
J	28												29		30		
K				31		32											
L	33												34				
M				35													
N													36				
O	37							38									

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańkiewicz.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bucła, Mirosław Derecki, Edeusa Jasłowski (kierownik działu literackiego), trener J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 16-18.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 254-24.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PEWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: 20-023 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/7.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 254-33, sekretarz redakcji 218-33, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecenie i ekspresowo — pod adresem redakcji.

Zam. 1983/84, 2.09.1984 r. L-9.